

Eugen Herrigel

ZEN
W SZTUCE
ŁUCZNICTWA

WSTĘP

Jedną z najbardziej znamienitych cech łucznictwa uprawianego tak, jak uprawia je się w Japonii - co zresztą dotyczy uprawiania wszystkich dziedzin sztuki we wszystkich zapewne krajach Dalekiego Wschodu - jest to, że tucznik nie dąży do celów utylitarnych ani do czysto estetycznej satysfakcji. Celem jest tu, bowiem ćwiczenie umysłu, a mówiąc ściślej, nawiązanie kontaktu umysłowego z najwyższą rzeczywistością. Łucznictwa nie uprawia się, zatem po to tylko, by trafić w tarczę; szermierz nie włada mieczem po to jedynie, aby pokonać przeciwnika; tancerz nie po to tańczy, aby wykonać pewną ilość rytmicznych ruchów. Umysł musi zestroić się pierwiej z nieświadomością.

Chcąc naprawdę osiągnąć mistrzostwo w jakiejś sztuce, nie można poprzestać na znajomości techniki. Należy wznieść się na poziom wobec techniki transcendentny, aby sztuka stała się "sztuką, w której niczego sztuką nie dokażesz", wyrastającą wprost z nieświadomości.

I tak na przykład w łucznictwie zaciera się przeciwieństwo między celem a tym, kto weń celuje, ponieważ cel i sam celujący stapiają się w jedną rzeczywistość. Łucznik traci świadomość samego siebie, przestaje być świadom tego, że jest kimś, kto ma trafić w środek tarczy, która przed nim stoi. Taki stan nieświadomości osiągnie on wtedy tylko, gdy będąc całkowicie pustym, wyzbytym własnego ja, stanie się jednym z doskonaleniem swej sprawności technicznej. Co prawda, wchodzą tu też w grę zjawiska z zupełnie innego poziomu, na który nie sposób wznieść się drogą jakichkolwiek stopniowych rozłożonych w czasie studiów nad sztuką łucznictwa.

Zen tym przede wszystkim różni się od innych szkół religijnych, filozoficznych czy też mistycznych, że nie opuszczając ani na chwile sfery życia codziennego będąc tak praktycznym i konkretnym, ma jednak w sobie coś, co wynosi go ponad wszelkie plugastwo i niepokoje tego świata.

I tak dochodzimy do punktu, w którym pojawia się związek między buddyzmem zen a łucznictwem, oraz takimi dziedzinami sztuki, jak szermierka, układanie bukietów, ceremoniał podawania herbaty, taniec czy sztuki piękne.

Baso (Ma-tsu, zmarły w roku 788) głosił, iż zen to "umysł, na co dzień". "Codziennność" umysłu polega po prostu na tym, by "spać, gdyśmy zmęczeni, i jeść, kiedyśmy głodni. Skoro tylko zaczniemy rozważać, rozmyślać i budować pojęcia, zetraca się pierwotna nieświadomość, wkrada się myśl, i już nie jemy jedząc ani śpiąc nie śpimy. Strzała opuszcza wprawdzie cięciwę, lecz nie frunie wprost ku tarczy, a samej tarczy też nie ma tam, gdzie tarcza stoi. Zaczynamy snuć rachuby, one zaś zawsze są biedne. Całe to przedsięwzięcie, jakim jest łucznictwo, zbacza na manowce. Panujący w umyśle łucznika zamęt w każdym kierunku, w każdej dziedzinie działalności zdradza swą obecność.

Człowiek to trzcina myśląca, lecz swych największych czynów dokonuje wtedy, gdy nie rachuje, nie myśli. Latami ćwicząc się w sztuce zapominania o sobie, należy odzyskać utraconą "dziecięcość". Osiągnąwszy ten stan człowiek myśli, zarazem jednak nie myśląc. Myśli tak, jak ulewy spadające z nieba, myśli tak, jak fale, które ocean toczy, myśli tak, jak gwiazdy, rozjaśniające nocą niebiosy, myśli tak, jak zielone liście, strzelające z gałązek w kojącym, wiosennym powiewie. W istocie człowiek taki jest tymi ulewami, tym oceanem, tymi gwiazdami i liśćmi.

Osiągnąwszy taki etap duchowego rozwoju, człowiek staje się artystą życia na modłę zen. Niepotrzebne mu płótno, pędzle ani farby, których używa malarz. Niepotrzebne mu łuk, strzała, tarcza ani inne przedmioty, którymi posługuje się łucznik. Ma on własne kończyny, tułów, głowę i inne części ciała - ważne narzędzia, przy pomocy, których przejawia się jego "życie na modłę

zen" Jego ręce i nogi to pędzle, a cały wszechświat jest płótnem, na którym człowiek ten przez siedemdziesiąt, osiemdziesiąt, albo i dziewięćdziesiąt lat odmalowuje swe życie Powstały w ten sposób obraz nosi miano "historii".

Hoyen z Gosozen (zmarły w roku 1140) powiada "Oto człowiek, który pustkę przestrzeni przeistacza w kartkę papieru, fale oceanu w kałamarz, a górę Sumeru w pędzel, i pisze tych pięć liter so-shi-sai-rai-i Przed takim człowiekiem rozpościeram moj zagu i składam niski pokłon".

Ktoś może spyta "Co znaczy to fantastyczne stwierdzenie? Czemu kogoś, kto zdolny jest dokonać takiego wyczynu, darzy się najwyższym szacunkiem" Mistrz zen odrzekłby zapewne Jem, gdy jestem głodny, śpię, gdy jestem zmęczony" Mistrz, któremu bliska jest przyroda mógłby powiedzieć "Wczoraj było ładnie, a dziś pada" Mimo to czytelnik może nadal stać wobec nierozwiązanej zagadki "Gdzie ten łucznik?"

Pan Herngel, filozof niemiecki, który po przyjeździe do Japonii zaczął ćwiczyć się w łucznictwie, aby zrozumieć zen, opowiada w tej przepięknej, książeczce o własnych przeżyciach Czytelnikowi, wychowanemu w kulturze zachodniej, relacja ta przybliży wschodni sposób odczuwania, który często wydawać się może dziwny, obcy i jakby niedostępny.

Daisetz T. Suzuki

Ipswich, Massachusetts
maj 1953



Na pierwszy rzut oka zdawać się musi, że zen - jakkolwiek sens czytelnik nadawałby temu słowu - przez skojarzenie z czymś tak przyziemnym, jak łucznictwo, nieznosnie się poniża. Choćby czytelnik, gotów do znacznych ustępstw, przyznał łucznictwu zaszczytne miano "sztuki", to i tak byłby, co najwyżej skłonny dopatrywać się w owej sztuce sprawności wybitnie sportowej. Spodziewa się on, zatem doniesień o zdumiewających wyczynach japońskich sztukmistrzów, mających to szczęście, że mogą polegać na uświęconej czasem, nieprzerwanej tradycji posługiwania się łukiem i strzałą. Bo też na Dalekim Wschodzie dopiero od paru pokoleń nowoczesna broń zastąpiła dawne uzbrojenie, a umiejętność władania nim bynajmniej nie poszła w niepamięć, lecz nadal się upowszechnia, pielęgnowana w coraz szerszych kręgach społeczeństwa. Czy zatem nie wolno czytelnikowi spodziewać się opisu szczególnych sposobów uprawiania łucznictwa jako narodowego sportu dzisiejszych Japończyków?

Nic mniej trafnego, niż takie oczekiwania. Tradycyjnie pojmowane łucznictwo, szanowane jako sztuka, czczone jako element narodowego dziedzictwa, nie jest dla Japończyka sportem, lecz - jakkolwiek niezwykle zrazu to zabrzmiało - rytuałem religijnym. Toteż określenie "sztuka łucznictwa" nie oznacza w jego pojęciu sprawności sportowej, dającej się lepiej lub gorzej opanować z pomocą ćwiczeń cielesnych, lecz umiejętność, mającą swe źródło w ćwiczeniach duchowych, mierzącą w cel duchowy: w zasadzie strzelec mierzy w samego siebie, a jeśli mu się powiedzie, może nawet siebie samego ugodzić.

Brzmi to z pewnością niejasno. - Co takiego? - spyta czytelnik. - Mamy więc uwierzyć, że łucznictwo, niegdyś uprawiane z myślą o walce na śmierć i życie, nie przetrwało nawet jako sport, lecz przybrało zwyrodniałą postać ćwiczeń duchowych? Po cóż więc łuk, strzała i tarcza? Czyż nie kłóci się to z samą ideą tej starej, męskiej sztuki, czyż nie przeczy rzetelności łucznictwa, w miejsce, której pojawia się coś mglistego, jeśli nie wręcz fantastycznego?

Warto jednak mieć to na uwadze, że sztukę posługiwania się łukiem i strzałą zawsze przesycił szczególnie duch, którego zatem nie było potrzeby wskrzeszać w naszych czasach. Obecnie duch ten przejawia się tym bardziej otwarcie i przekonująco, że nie musi już sprawdzać się w krwawych bojach. Błędem byłoby sądzić, że tradycyjna technika łucznictwa, nie mająca już zastosowania w walce, służy miłej rozrywce, a zatem stała się rzeczą najzupełniej niewinną. Stanowisko Wielkiej Doktryny łucznictwa jest tutaj całkowicie przeciwstawne. W myśl Wielkiej Doktryny łucznictwo nadal jest sprawą życia lub śmierci, ponieważ łucznik toczy bój z samym sobą - bój, który nie jest lichą namiastką, lecz podstawą wszelkich walk zewnętrznych, chociażby z fizycznym przeciwnikiem. Właśnie w starciu łuczника z samym sobą przejawia się tajemna istota tej sztuki. W jej nauczaniu nie pomija się niczego istotnego, choć odrzaca się cele utylitarne, którym niegdyś służyła umiejętność toczenia rycerskich bojów.

Każdy, kto w naszych czasach przystępuje do uprawiania tej sztuki, z jej historycznego rozwoju odnosi więc te bezsprzeczną korzyść, że wolny jest od pokusy, aby zamącać własne pojmowanie Wielkiej Doktryny dążeniem do celów utylitarnych - choćby tajonym przed samym sobą - które mogłoby wręcz całkowicie uniemożliwić mu jej zrozumienie. Albowiem mistrzowie łucznictwa wszystkich epok zgodni są, co do tego, że owa sztuka dostępna jest jedynie dla tych, którzy serce mają "czyste" i którym obce są uboczne dążenia.

Odpowiedź na zadane z tego punktu widzenia pytanie, jak mianowicie mistrzowie japońscy

pojmują ów bój, który łucznik toczy z samym sobą, i jak go opisują, zabrzmiałyby niesłychanie tajemniczo. Dla nich, bowiem w boju tym łucznik mierzy w siebie samego - a jednak nie w siebie samego; trafia w siebie samego - a jednak nie w siebie samego. W ten sposób staje się on jednocześnie celem i tym, kto celuje, strzelcem i strzałem. Bądź też - by ująć rzecz w słowach mistrzom najdroższych - łucznik, chcąc nie chcąc, stać się musi niewzruszonym centrum. I wtedy zdarza się cud ostateczny, cud najwyższego rzędu: sztuka staje się "sztuką, w której niczego sztuką nie dokażesz", strzelanie przeradza się w nie-strzelanie, w strzelanie bez łuku i strzały. Nauczyciel znów staje się uczniem, mistrz początkującym, koniec - początkiem, a początek - doskonałością.

Dla ludzi Wschodu te tajemnicze formuły brzmią przejrzyście, jak wszystkim znajome prawdy, nas jednak wprawiają one w zupełne osłupienie. Musimy, zatem głębiej wniknąć w te kwestie. Od dość dawna nie jest tajemnicą - nawet dla nas, Europejczyków - że wszelka sztuka w Japonii czerpie swą wewnętrzną formę ze wspólnego dla wszystkich sztuk korzenia, którym jest buddyzm. Dotyczy to zarówno sztuki łucznictwa, jak malarstwa, teatru nie mniej niż ceremoniału podawania herbaty, sztuki układania bukietów czy szermierki. Uprawiając którąkolwiek z tych dyscyplin, należy przeżywać ją na sposób duchowy. Każda z nich po swojemu kultywuje te właśnie postawę, która - będąc w swej najwznioślejszej postaci typową dla buddyzmu - określa naturę, człowieka pokroju kapłańskiego. Nie mam tu na myśli buddyzmu w zwykłym tego słowa znaczeniu, ani też nie zajmuje się wybitnie spekulatywną jego formą, którą - dzięki rzekomo przystępnej literaturze - jako jedyną odmianę buddyzmu znamy w Europie, a nawet chętnie się jej rozumieniem. Mówię o buddyzmie, dhyana, znanym w Japonii pod nazwą "zen", nie polegającym bynajmniej na spekulacji, lecz na bezpośrednim doświadczeniu tego, co jako bezgraniczne tło istnienia nie daje się pojąć drogą intelektualną, nie poddaje się zrozumieniu ani interpretacji nawet po najbardziej jednoznacznych i niepodważalnych przeżyciach: jest to coś, co wiedzieć można tylko bezwiednie. Takie właśnie, rozstrzygające przeżycia mając na widoku, buddyzm zen wytyczył ścieżki, na których dzięki metodycznemu zagłębianiu się w samym sobie odnaleźć można sięgającą samych podstaw duszy świadomość nienazywalnej bezpodstawności i bez właściwości. Więcej: można się z tą świadomością zjednoczyć. Wyrażając się bardzo oględnie - a tym samym być może wprowadzając czytelnika w błąd - powiem, że w przypadku łucznictwa znaczy to, iż ćwiczenia duchowe, będące jedynym sposobem, dzięki któremu technika łucznicza stać się może sztuką (a jeśli wszystko dobrze pójdzie, udoskonali się, by przerodzić się w "sztukę, w której niczego sztuką nie dokażesz") są ćwiczeniami mistycznymi. Łucznictwo w żadnym razie nie może więc zasadzać się na jakichkolwiek sukcesach zewnętrznych, osiąganych z pomocą łuku i strzały, lecz polega na osiągnięciach wewnętrznych, sam na sam z sobą. Łuk i strzała stwarzają pretekst dla czegoś, co równie dobrze mogłoby się zdarzyć bez nich. Są one jedynie środkiem, prowadzącym do celu, a nie samym celem; jedynie pomocami, ułatwiającymi wykonanie ostatniego, rozstrzygającego skoku.

Byłoby, zatem rzeczą ze wszechmiar pożądaną, aby czytelnik zyskał dostęp do wykładów buddystów zen, ułatwiających zrozumienie. Tekstów takich w istocie nie brakuje. W książce *Essays in Zen Buddhism* D.T. Suzuki przekonująco dowodzi, iż kultura japońska ściśle wiąże się z buddyzmem zen; że japońska sztuka, postawa duchowa samuraja, japoński styl życia, moralne, estetyczne, a poniekąd także intelektualne życie Japończyków temu właśnie zawdzięcza swą osobliwość, że wyrasta z buddyzmu zen, toteż wymyka się rozumieniu osób z tą gałęzią buddyzmu nie zaznajomionych.

Nadzwyczaj doniosłe dzieło Suzukiego, podobnie jak studia innych uczonych japońskich, wzbudziło zainteresowanie w szerokich kręgach. Powszechnie uznaje się, iż buddyzm *dhyana*, który narodził się w Indiach, przeszedłszy dogłębną przemianę, w Chinach osiągnął pełnię

rozwoju, by wreszcie przyjąć się w Japonii, gdzie po dziś dzień pielęgnuje się jego żywą tradycję - ujawnił nie przeczuwane sposoby istnienia; jest rzeczą najwyższej wagi, abyśmy zrozumieli, na czym owe sposoby istnienia polegają.

Mimo wszelkich starań znawców buddyzmu zen, nasze europejskie spojrzenie na jego istotę wciąż jednak pozostaje niezwykle zawężone. Już po paru krokach błędząca na oślep intuicja napotyka bariery nie do przezwyciężenia, jak gdyby zen opierał się głębszej penetracji. Spowity nieprzeniknionym mrokiem, wydawać się musi najdziwniejszą zagadką, jaką kiedykolwiek postawiło przed nami życie duchowe Wschodu: nierozwiązywalną, a zarazem nieodparcie pociągającą.

To dominujące uczucie, niedosiężności spowodowane jest po trosze przyjętym w buddyzmie zen stylem wykładu. Buddysta zen uczyni, co najwyżej aluzje do przeżyć, które wyzwoliły go i przemieniły, i nikt rozsądny niczego ponad to od niego nie oczekuje. Nikt nie spodziewa się, że będzie on próbował opisać niewyobrażalną, niewyraźną prawdę, wedle której żyje. Pod tym względem zen spokrewniony jest z czystym, introspektywnym mistycyzmem: o ile nie wkroczymy w świat doznań mistycznych drogą bezpośredniego uczestnictwa, pozostaniemy na zewnątrz, jakkolwiek byśmy się kręcili i wiercili. Prawo to, któremu podlega wszelki prawdziwy mistycyzm, nie dopuszcza wyjątków. I nie jest to bynajmniej sprzeczność, że istnieje całe mnóstwo tekstów zen, uważanych za święte. Mają one tę szczególną cechę, że swe życiодajne znaczenie zdradzają tym tylko, którzy okazali się godni rozstrzygających doświadczeń, a więc potrafią wyczytać z nich potwierdzenie tego, co sami już posiadają, czym sami są - niezależnie od owych tekstów. Natomiast niedoświadczonemu pisma takie nie tylko nic nie powiedzą - jakże, bowiem miałby czytać między wierszami? - lecz nieuchronnie wprawia go w całkiem beznadziejny zamęt duchowy, choćby podchodził do nich ostrożnie, z pełnym samozaparcia oddaniem. Jak każdy rodzaj mistycyzmu, tak i zen zrozumieć może tylko ktoś, kto sam jest mistykiem, a więc nie kusi go, by psim swędem osiągnąć to, czego przeżycie mistyczne mu wzbrania.

A jednak człowiek przemieniony przez zen, człowiek, który przeszedł przez "ogień prawdy", żyje w sposób tak przekonujący, że nie może to nie zwracać uwagi. Nie wymagamy więc od niego zbyt wiele, jeśli w poczuciu duchowego pokrewieństwa, pragnąc odnaleźć drogę, na której napotkać można tę bezimienną moc, która takie czyni cuda - bo prosta ciekawość nie ma prawa niczego żądać - oczekujemy, iż adept przynajmniej opisz nam wiodący do celu szlak. Stawiając pierwszy krok, żaden mistyk, żaden uczeń buddyzmu zen nie jest tym człowiekiem, którym może zostać, jeśli będzie się doskonalił. Ileż musi jeszcze odnieść zwycięstw, ile spraw pozostawić za sobą, nim wreszcie zaświta mu prawda! Jakże często dręczy go po drodze rozpaczliwe poczucie, że porywa się na coś, co jest niemożliwością! A jednak ta niemożliwość okaże się pewnego dnia możliwa, a nawet oczywista. Czyż, zatem nie wolno nam mieć nadziei, że dzięki starannemu opisowi tej długiej i trudnej drogi będziemy potrafili przynajmniej zadać sobie pytanie, czy chcemy ją przeżyć?

Otóż tego rodzaju opisów drogi i jej kolejnych stacji w literaturze zen nie ma prawie wcale. Przyczyna leży po części w tym, że buddysta zen kategorycznie wzbrania się przed udzielaniem jakichkolwiek pouczeń, mających zapewnić szczęście w życiu. Wie on z własnego doświadczenia, że nikt nie wytrwa na szlaku bez sumiennego, umiejętnego przewodnictwa nauczyciela, bez pomocy mistrza. Z drugiej zaś strony równie istotne jest to, że jego własne doświadczenia, jego zwycięstwa i przemiany duchowe, muszą - póki są "jego" - ponownie zostać przezwyciężone, aż wszystko, co "jego", ulegnie zniszczeniu. Tylko w ten sposób może on przygotować w sobie grunt dla doświadczeń, które - tak jak "wszechogarniająca Prawda" - zbudzą go do życia, niebędącego już jego codziennym, osobistym życiem. On żyje, ale to, co

żyje, nie jest już nim samym, tym samym.

Z tego punktu widzenia zrozumiałym się staje, czemu buddysta zen wystrzega się wszelkich rozmów o sobie i swym rozwoju: nie, dlatego, że jego zdaniem nieskromnie jest mówić, lecz dlatego, że czułby, iż w ten sposób zdradza zen.

Choćby po to, by zdecydować się cokolwiek o nim powiedzieć, musi on srodze bić się z myślami. Przestrogą jest mu przykład jednego z największych mistrzów, który w odpowiedzi na pytanie, czym jest zen, milczał niewzruszenie, jakby nie dosłyszał pytania. Jakże więc można oczekiwać, że adept skory będzie opowiadać o czymś, co odrzucił, i za czym już nie tęskni?

W tej sytuacji należałoby uznać, że wymawiam się od obowiązku, gdybym poprzestał na szeregu paradoksów lub bronił się kanonadą górnolotnych określeń. Miałem, bowiem zamiar rzucić nieco światła na naturę buddyzmu zen, oraz na to, jak zen kształtuje jedną z dziedzin sztuki, na których wycisnął swe piętno. Nikt, rzecz jasna, nie osiągnie dzięki temu światła oświecenia - w sensie, jaki zen nadaje słowu, będącemu jednym z podstawowych określeń tej nauki - lecz ukaże ono przynajmniej, że za nieprzeniknioną ścianą mgły coś musi się kryć, coś, co niczym błyskawica latem zwiastuje odległą burzę. Sztuka łucznictwa rozumiana w ten sposób jest niejako przedszkolem buddyzmu zen, pozwala, bowiem początkującemu, poprzez pracę własnych rąk, ujrzeć z większą jasnością zdarzenia, które same w sobie nie są czytelne. Mówiąc obiektywnie, do buddyzmu zen doskonale można by dotrzeć poprzez którąkolwiek z wymienionych przeze mnie dyscyplin.

Sądzę jednak, że najskuteczniej spełnię swój zamiar, jeśli opisze kurs, jaki odbyć musi każdy, kto uczy się sztuki łucznictwa. Ścisłej mówiąc, spróbuje streścić wydarzenia, jakie zaszły podczas sześciu lat mego pobytu w Japonii, kiedy to pobierałem nauki u jednego z największych mistrzów tej dyscypliny. Moje własne doświadczenie upoważnia mnie więc do podjęcia tego zadania. Aby to, co opowiem, było w ogóle zrozumiałe - nawet, bowiem w takim przedszkolu dosyć napotyka się zagadek - nie mając wyboru, zdam szczegółowo sprawę z wszelkich zahamowań, jakie musiałem zwalczyć, z wszystkich oporów, jakie musiałem przezwyciężyć, nim udało mi się przeniknąć ducha Wielkiej Doktryny. Mówię zaś o sobie tylko, dlatego, że nie widzę innej drogi do celu, który sobie wytyczyłem. Z tego też powodu relacje mą ograniczę do spraw zasadniczych, aby je przez to uwydatnić. Świadomie zaniechałem opisu scenerii, w której pobierałem nauki, wyczarowywania scen, jakie utkwiły mi w pamięci, a zwłaszcza kreślenia portretu Mistrza - jakkolwiek kuszące wszystko to być mogło. Osią książki musi być sztuka łucznictwa - a miewam niekiedy wrażenie, że jeszcze trudniej ją objaśnić, niż opanować. Objaśnianie zaś doprowadzić należy aż tam, skąd zaczynają nam majaczyć owe odległe horyzonty, poza którymi zen żyje i oddycha.

* * *

Winien jestem Czytelnikowi wyjaśnienie, czemu zająłem się buddyzmem zen i czemu zacząłem w tym celu uczyć się sztuki łucznictwa. Jeszcze za czasów studenckich, jakby gnany tajemnym popędem, pochłonięty byłem mistycyzmem - pomimo nastroju epoki, w której dla tego rodzaju zainteresowań nie było miejsca. Mimo jednak wszelkich starań, z coraz większą jasnością zdawałem sobie sprawę, że pisma ezoteryczne dostępne są mi jedynie od zewnątrz. I choć potrafiłem krążyć wokół - nazwijmy je tak - pierwotnego zjawiska mistycznego, nie umiałem przeskoczyć linii, niby wysokim murem otaczającej tajemnicy. W rozległej literaturze na temat mistycyzmu również nie mogłem znaleźć tego, czego szukałem. Rozczarowany i zniechęcony,

zrozumiałem stopniowo, że tylko człowiek prawdziwie oderwany od spraw tego świata może zrozumieć, czym jest oderwanie od spraw tego świata; tylko ten, kto kontempluje, kto jest zupełnie pusty i siebie wyzbyty, gotów jest zjednoczyć się z "transcendentnym Bóstwem".

Zdałem, więc sobie sprawę, że nie ma i nie może być innej drogi do mistycyzmu, niż droga osobistych doświadczeń i cierpienia. Jeśli zaś ten warunek nie został spełniony, wszelkie słowa są cczą gadaniną. Ale - co się robi, żeby zostać mistykiem? Co się robi, by osiągnąć stan prawdziwego, nie zaś jedynie urojonego oderwania? Czy droga, wiodąca do tego celu, wciąż jeszcze otwarta jest nawet dla tych, których przepaść stuleci odgradza do wielkich mistrzów? Dla współczesnego człowieka, wychowanego w zupełnie innych warunkach? Nigdzie nie spotkałem odpowiedzi choćby w przybliżeniu zadowalających, choć opowiadano mi o etapach i stacjach drogi, która obiecywała doprowadzić do celu zdążającego nią pielgrzyma. Ja na tę drogę wkroczyć nie mogłem, będąc pozbawionym ścisłych, metodycznych wskazówek, mogących przynajmniej na początku podróży zastąpić mistrza. Czy jednak wskazówki takie, choćbym je nawet uzyskał, okazałyby się wystarczające? Czyż nie jest raczej prawdopodobne, że wywołują one w najlepszym razie gotowość przyjęcia czegoś, czego nawet najdoskonalsza metoda ofiarować nie może - skąd wniosek, że przeżycie mistyczne z żadnego dostępnego człowiekowi usposobienia zrodzić się nie zdoła? Z którejkolwiek bym patrzył strony, napotykałem zamknięte drzwi - a jednak, nie mogąc się powstrzymać, raz po raz targałem za klamki. Nie opuszczała mnie tęsknota, a gdy przytłumiło ją zmęczenie, pozostawała tęsknota za tęsknotą.

Gdy więc spytano mnie - zostałem, bowiem tymczasem wykładowcą uniwersyteckim - czy nie zechciałbym wyklądać filozofii na Uniwersytecie Tokijskim, ze szczególną radością powitałem nadarzącą się sposobność poznania Japonii i jej mieszkańców, choćby, dlatego, że dawało mi to widoki, iż zetknę się z buddyzmem, a więc z introspektywną praktyką mistycyzmu. Zdażyłem już, bowiem zasłyszeć, że w Japonii istnieje żywa, starannie przechowywana tradycja zen; że znana jest sztuka nauczania, która przeszła próbę stuleci; przede wszystkim zaś są tam nauczyciele buddyzmu zen, zdumiewająco biegli w sztuce przewodnictwa duchowego.

Ledwo zacząłem jako tako orientować się w nowym otoczeniu, jałem dowiadywać się, w jaki sposób mógłbym spełnić swe pragnienie. Od razu spotkałem się z pełną zażenowania odmową. Parokrotnie oznajmiono mi, że nigdy jeszcze żaden Europejczyk nie interesował się poważnie buddyzmem zen, ponieważ zaś ten ostatni odżegnuje się od wszelkiego "pouczania", nie należy oczekiwać, że zadowoli mnie "teoretycznie". Wiele godzin musiałem poświęcić, nim zdołałem wyjaśnić Japończykom, czemu pragnę oddać się właśnie, nie spekulatywnej formie zen, a wtedy usłyszałem, że Europejczyk, pragnący przeniknąć tę dziedzinę życia duchowego - kto wie, czy nie najdziwniejszą ze wszystkich, jakie napotkać można na Dalekim Wschodzie - nie może mieć nadziei powodzenia, jeśli na początek nie zacznie ćwiczyć się w którejś ze sztuk, związanych z buddyzmem zen.

Perspektywa odbycia swego rodzaju kursu przygotowawczego bynajmniej mnie nie odstręczyła. Gotów byłem uczynić wszystko, cokolwiek, co dawało pewną nadzieję, że nieco przybliży mi zen. Droga okrężna, nawet i żmudna, wydawała się mi lepsza niż żadna. Lecz którą ze sztuk, uprawianych w tym celu, powinienem obrać? Moja żona wahała się. nieco, aż wreszcie wybrała układanie bukietów i malarstwo. Ja natomiast uznałem, że bardziej odpowiednia będzie dla mnie sztuka łucznictwa, wychodziłem, bowiem z założenia - całkiem, jak miało się okazać, błędnego - że przyjdzie mi tu z pomocą doświadczenie, jakiego nabyłem w strzelaniu z karabinu i z pistoletu.

Uprosiłem jednego z mych kolegów, nazwiskiem Sozo Komachiya, profesora jurysprudencji, który przez dwadzieścia lat pobierał był lekcje łucznictwa i cieszył się na Uniwersytecie zasłużoną opinią człowieka najbardziej w sprawach tej sztuki kompetentnego, aby zgłosił mi

kandydaturę swemu dawnemu nauczycielowi, czcigodnemu Mistrzowi Kenzo Awa. Mistrz zrazu odmówił mej prośbie, stwierdzając, iż popełnił już kiedyś ten błąd, że przyjął na naukę cudzoziemca, czego do dziś żałuje. Nie zamierzał ponownie iść na ustępstwa, aby oszczędzić uczniowi dźwigania brzemienia, jakim jest osobliwy duch owej sztuki. Zaoponowałem, mówiąc, że Mistrz, który z taką powagą odnosi się do swej pracy, mógłby mnie przecież traktować jak najmłodszego ze swych uczniów. Dopiero wtedy widząc, iż nie dla przyjemności, lecz przez wzgląd na Wielką Doktrynę chce poznać arkana jego sztuki, przyjął mnie na naukę - a wraz ze mną moją żonę, albowiem w Japonii od dawna jest rzeczą zwykłą, że dziewczęta ćwiczą się w tej sztuce. Żona i dwie córki Mistrza uprawiały ją zresztą z wielką pilnością.

I tak rozpoczęliśmy długi i mozolny kurs. Pan Komachiya, nasz przyjaciel, który był tak wytrwałym orędownikiem naszej sprawy, a nawet, rzec by można, za nas poręczył, pełnił rolę tłumacza. Mnie zaś szczęśliwą rzeczą kolejną zaproszono do udziału w lekcjach układania bukietów i malarstwa, jakie pobierała moja żona, co pozwalało mieć nadzieję, że dzięki nieustannemu porównywaniu wzajemnie uzupełniających się dyscyplin moje zrozumienie spraw, które postanowiłem przeniknąć, oparte będzie na tym szerszej podstawie.

* * *

O tym, że droga "sztuki, w której niczego sztuką nie dokazesz" nie jest łatwa, mieliśmy przekonać się już na pierwszej lekcji. Na początek Mistrz pokazał nam rozmaite łuki japońskie, wyjaśniając, że niezwykle giętkość zawdzięczają one osobliwej budowie, a także najczęściej używanemu materiałowi, którym jest bambus. Wydało nam się jednak, że Mistrz większą wagę przywiązuje do tego, byśmy zauważyli, jak szlachetny kształt przybiera łuk -długi niemal na dwa metry - skoro tylko się go napnie. Kształt ten tym bardziej zdumiewa, im mocniej łucznik naciągnie cięciwę. Mistrz wyjaśnił, że łuk napięty do granic możliwości zawiera w sobie wszystko, toteż ważne jest, aby strzelec umiał napinać go prawidłowo. Następnie, ująwszy najlepszy, najmocniejszy łuk, przybrał postawę uroczystą i dostojną, po czym kilkakrotnie napiął lekko cięciwę, by po małej chwili znów wypuścić ją z palców. Daje się przy tym słyszeć ostry trzask oraz głęboki, wibrujący dźwięk, którego nie sposób zapomnieć, usłyszawszy go choćby parokrotnie - tak jest niezwykle i tak porywająco chwyta za serce. Od najdawniejszych czasów przypisuje mu się moc odpędzania złych duchów. Bez trudu mogę sobie wyobrazić, iż taka wykładnia rozpowszechniła się i zakorzeniła w całej Japonii. Dokonawszy na wstępie tak doniosłego aktu oczyszczenia i poświęcenia, Mistrz polecił nam patrzeć uważnie: założył, czyli "nasadził" strzałę na cięciwę, naciągnął łuk tak mocno, że zląkłem się, iż ten nie wytrzyma napięcia, w jakie wprawił go przymus ogarniania wszystkiego, i wypuścił strzałę. Wykonał to nie tylko przepięknie, lecz na pozór bez najmniejszego wysiłku. Następnie udzielił nam wskazówek:

- Teraz zróbcie to samo, ale pamiętajcie, że celem łucznictwa nie jest rozwój mięśni. W napinanie cięciwy nie należy wkładać siły całego ciała. Trzeba nauczyć się. robić to wysiłkiem samych dłoni. Mięśnie rąk i barków powinny być rozluźnione, jak obojętni świadkowie wydarzeń. Dopiero, gdy tego się nauczycie, spełnicie jeden z warunków, na mocy, których napinanie łuku i strzelanie jest aktem "duchowym".

Z tymi słowy chwycił mnie za ręce i poprowadził je przez kolejne fazy ruchu, który miały wykonywać w przyszłości, jakby po to, żebym przekonał się, co to za uczucie, i oswoił się z nim.

Już przy pierwszej próbie napięcia łuku ćwiczebnego średniej mocy stwierdziłem, że musze

włożyć w to wiele siły. Dzieje się tak, dlatego, że - w przeciwieństwie do europejskich łuków sportowych - łuku japońskiego nie trzyma się na poziomie ramion, w której to pozycji można by, że tak powiem, wcisnąć się weń całym ciałem. Skoro tylko strzała nasadzona zostanie na cięciwę, łuk japoński należy unieść w górę, mając ręce niemal całkowicie wyprostowane. Dłonie łuczника znajdują się przy tym ponad jego głową, może on więc jedynie zwiększyć odstęp między nimi, ciągnąc równomiernie w lewo i w prawo, im bardziej zaś rośnie odległość między dłońmi, tym niżej się one opuszczają, aż dłoń lewa, dzierżąca łuk, znajdzie się na wysokości oka, przy czym lewa ręka powinna być zupełnie prosta. Natomiast ręka prawa jest zgięta, a dłoń napinająca cięciwę znajduje się nad prawym ramieniem, toteż grot strzały, mającej blisko metr długości, nieznacznie wystaje poza zewnętrzną krawędź łuku - tak wielka, bowiem jest rozpiętość. Łucznik musi wytrwać w tej postawie przez chwilę, nim zwolni cięciwę. Ten niecodzienny sposób trzymania i napinania łuku wymaga takiej siły, że po upływie paru chwil ręce zaczęły mi drżeć i oddychałem z coraz większym trudem. Mijające tygodnie nie przynosiły żadnej poprawy. Napinanie łuku nadal było niełatwym przedsięwzięciem, i choć ćwiczyłem sumiennie, bynajmniej nie chciało stać się aktem "duchowym". Na pociechę pomyślałem sobie, że musi istnieć jakiś sposób, jakaś sztuczka, której Mistrz z niewiadomych powodów nie chce zdradzić. Powziąłem ambitny zamiar, aby sztuczkę tę odkryć.

Nadal więc ćwiczyłem, z posępną zawziętością dążąc do celu. Mistrz uważnie obserwował me wysiłki, spokojnie poprawiał mą sztywną postawę, chwalił zapał, ganił mnie za to, że niepotrzebnie trwonię siły, poza tym jednak do niczego się nie mieszał. Tyle, że trafiał w mój bolesny punkt, ilekroć naciągając łuk słyszałem, jak Mistrz woła:

- Rozluźnij się! Rozluźnij!

Zdażył, bowiem nauczyć się tych słów. Nigdy jednak nie tracił cierpliwości i był niezmiennie uprzejmy. Lecz pewnego dnia ja sam straciłem cierpliwość i przyznałem, że zupełnie nie potrafię, naciągnąć łuku w przepisany sposób.

- Nie potrafisz - powiedział Mistrz - bo źle oddychasz. Przy wdechu delikatnie wciągnij powietrze w głąb płuc, do dna, tak by brzuch mocno się napiął, i na chwilę, zatrzymaj oddech. Potem możliwie najwolniej i najbardziej równomiernie zrób wydech, a po krótkiej przerwie znów szybko zaczerpnij powietrza. Wdychaj i wydychaj w sposób ciągły, w rytmie, który stopniowo sam się ustali. Jeśli będziesz oddychał prawidłowo, poczujesz, że z każdym dniem łatwiej ci się strzela. Oddychając w ten sposób nie tylko odkryjesz źródło wszelkiej siły duchowej, ale sprawisz zarazem, że ze źródła tego tryśnie obfity strumień, który z tym większą łatwością popłynie twymi członkami, im bardziej się rozluźnisz.

Jakby na dowód, Mistrz naciągnął swój łuk i poprosiłbym stanąwszy za nim pomacał mięśnie jego ramion. Rzeczywiście, były zupełnie rozluźnione, jakby nie wykonywały żadnej pracy.

Nowy sposób oddychania ćwiczyło się najpierw bez łuku i strzały, aż stał się całkiem naturalny. Początkowe wrażenie niewygody rychło udało się przezwyciężyć. Mistrz wielką wagę przywiązywał do tego, byśmy wypuszczali powietrze możliwie najwolniej i jak najbardziej równomiernie, aż do samego końca, więc dla większej wprawy i lepszej kontroli kazał nam podczas wydechu nucić na jednym dźwięku. Dopiero, gdy powietrze zupełnie uszło z płuc i dźwięk całkiem ucichł, wolno nam było znów odetchnąć. Mistrz powiedział, że wdech wiąże i łączy, dzięki zatrzymaniu oddechu wszystko się porządkuje, a wydech rozluźnia i uzupełnia, przezwyciężając wszelkie ograniczenia. Myśmy jednak nie byli jeszcze w stanie tego pojąć.

Następnie Mistrz uzmysłowił nam związek, zachodzący między oddychaniem - które, rzecz prosta, nie było samo w sobie celem naszych ćwiczeń - a łucznictwem. Jednolity proces napinania łuku i strzelania podzielony został na takie oto etapy: ujęcie łuku, nasadzenie strzały na cięciwę, uniesienie łuku, naciągnięcie cięciwy i wytrzymanie momentu największego napięcia,

zwolnienie cięciwy. Każdy z tych etapów zaczynał się na wdechu, dzięki zatrzymaniu powietrza wciągniętego aż do dna płuc przedłużał się i utrzymywałby zakończyć się wydechem. Skutek był ten, że oddech uporządkował się sam przez się i nie tylko akcentował poszczególne pozycje i ruchy rąk, ale wiązał je w sekwencje rytmiczną, inną u każdego z nas, w zależności od tego, jak które z nas opanowało sztukę oddychania. Cały proces - choć podzielony na części - zdawał się być żywym, całkowicie samodzielnym tworem, nawet w odległy sposób nie przypominającym ćwiczeń gimnastycznych, którym można by dodawać bądź odejmować poszczególne elementy, nie obracając w niwecz ich znaczenia i charakteru.

Wracając myślą do tamtych dni mimo woli raz po raz wspominam, ile trudności sprawiło mi początkowo właściwe ustawienie oddechu. Z technicznego punktu widzenia oddychałem prawidłowo, ilekroć jednak próbowałem naciągnąć łuk, nie napinając przy tym mięśni rąk i barków, tym gwałtowniej naprężały się mięśnie nóg, jak gdyby moje życie zależało od tego, czy będę mocno i pewnie stał na nogach - jakbym wzorem Anteusza musiał czerpać siłę z ziemi. Często zdarzało się, że Mistrz, nie mając wyboru, rzucał się na mnie błyskawicznie i uciskał któryś z mięśni mych nóg w szczególnie wrażliwym punkcie. Gdy spróbowałem tłumaczyć się, mówiąc, że z całą sumiennością staram się nie napinać, Mistrz odrzekł:

- W tym właśnie cały szkopał, że starasz się o tym myśleć. Skup się wyłącznie na oddechu, jakbyś nie miał innych zajęć!

Sporo czasu poświęciłem, nim udało mi się dokonać tego, czego Mistrz żądał. Ale - udało mi się. Nauczyłem się tak swobodnie zatracać się w oddychaniu, że miewałem wrażenie, iż nie ja sam oddycham, lecz - choć dziwnie może to zabrzmieć - "jestem oddychany". I nawet w chwilach rozmyślań, gdy borykałem się z tą śmiałą ideą, nie mogłem dłużej wątpić, że z oddychaniem istotnie wiążą się widoki na przyszłość, o których mówił Mistrz. Niekiedy - a w miarę upływu czasu coraz częściej - potrafiłem naciągnąć łuk i utrzymać go w napięciu aż do chwili zwolnienia cięciwy, nie naprężając żadnej części ciała - choć nie umiałbym wyjaśnić, jak to się dzieje. Różnica jakościowa między tymi nielicznymi udanymi strzałami a niezliczonymi nieudanymi była tak przekonująca, że gotów byłem przyznać, iż nareszcie zrozumiałem, na czym polega "duchowe" napinanie łuku.

A wiec o to szło: nie o sztukę techniczną, którą próżno starałem się podpatrzeć, lecz o panowanie nad oddechem - umiejętność, która wyzwala i otwiera dalekosiężne możliwości. Wyznaje to nie bez wahania, wiem, bowiem, jak silna może być pokusa, aby ulec potężnemu wpływowi drugiego człowieka, omotać się siecią złudzeń, a w rezultacie przypisać jakiemuś doznaniu nadmierną wagę - dlatego tylko, że jest to doznanie niezwykle. Lecz choć tak wykrętnie się wyrażam, próbując zachować trzeźwą powściągliwość, przyznać muszę, że wyniki, osiągnięte dzięki nowemu sposobowi oddychania - a z czasem okazało się, że nawet najmocniejszy łuk Mistrza potrafię naciągnąć, nie napinając przy tym mięśni - były zbyt, jednoznaczne, aby można było zaprzeczyć ich świadectwu.

Omawiając te sprawy z panem Komachiya, spytałem kiedyś, czemu Mistrz tak długo przyglądał się mym bezowocnym wysiłkom, gdy starałem się napiąć łuk na sposób "duchowy". Czemu na samym początku nie polecił mi oddychać prawidłowo?

- Wielki Mistrz - odparł pan Komachiya - musi być zarazem wielkim nauczycielem. U nas jedno zawsze idzie w parze z drugim. Gdyby Mistrz zaczął lekcje od nauki oddychania, nigdy nie zdołałby pana przekonać, że ćwiczenia te o czymkolwiek przesądziły, że im pan cokolwiek zawdzięcza. Trzeba było, aby ujrzał pan, jak mimo pańskich wysiłków statek pański rozbija się o skały. Dopiero wtedy był pan gotów chwycić koło ratunkowe, które Mistrz panu rzucił. Proszę mi wierzyć - wiem z własnego doświadczenia, że Mistrz i pana, i każdego z uczniów zna lepiej, niż my sami siebie znamy. Czyta on w duszach swych uczniów z większą łatwością, niż sami

uczniowie skłonni byliby przyznać.

* * *

Nauczyć się w ciągu jednego roku naciągać łuk w sposób "duchowy", czyli z siłą, ale bez wysiłku - nienadzwyczajne to osiągnięcie. A jednak byłem kontent, zacząłem, bowiem rozumieć, czemu system samoobrony, zgodnie, z którym obala się przeciwnika nieoczekiwanie, z niewymuszoną giętkością ustępując przed jego zacieklą atakiem - a więc obracając przeciwko niemu jego własną siłę - nosi miano "sztuki łagodnej". Sztukę tę od najdawniejszych czasów symbolizuje woda - uległa, a zarazem niepokonana. W powiedzeniu, Laozi, iż żywot godziwy jest jak woda, która "ze wszystkich rzeczy będąc najbardziej uległą, odnieść może przewagę nad tym, co ze wszystkich rzeczy jest najtwardsze", zawiera się więc głęboka prawda. Co więcej, w naszej szkole powtarzano te oto maksymę Mistrza: "Kto na początku czyni znaczne postępy, tego później czeka tym więcej trudności". Dla mnie początki bynajmniej nie były łatwe. Czyż więc nie miałem prawa czuć się pewnie w obliczu tego, co mnie czekało, a czego trudności zaczynałem już przewidywać?

Kolejną rzeczą, której należało się nauczyć, było "zwalnianie" cięciwy. Dotychczas wolno nam było zdawać się w tej materii na los szczęścia; czynność ta była, że tak powiem, wzięta w cudzysłów, jak gdyby na marginesie właściwych ćwiczeń. Jeszcze mniej istotne było to, co działo się, że strzała: o ile przebiła zwój ubitej słomy, pełniący rolę tarczy, a zarazem wału ochronnego, uznawano, iż honor został ocalony. Trafienie nie było zresztą szczególnym wyczynem, skoro odległość od celu wynosiła najwyżej dziesięć kroków.

Dotychczas po prostu puszczałem cięciwę, gdy nie byłem już w stanie utrzymać jej w największym napięciu - gdy czułem, że muszę ustąpić, bo w przeciwnym razie moje ręce zostaną przemocą przyciągnięte na powrót ku sobie. Napięcie to nie sprawia żadnego bólu: skórzana rękawica, której kciuk jest usztywniony i opatrzone grubą warstwą ochronną, nie pozwala, by cięciwa uciskała palce w sposób dokuczliwy, mogłoby to, bowiem przedwcześnie skrócić czas utrzymywania tejże cięciwy w najwyższym napięciu. Podczas naciągania kciuk otacza cięciwę tuż pod strzałą i zgina się ku wnętrzu dłoni. Trzy pierwsze palce zwierają się wokół kciuka w mocnym uścisku, zarazem dając strzale solidne oparcie. Zwalnianie cięciwy polega więc na tym, że łucznik rozprostowuje palce, zaciśnięte wokół kciuka, oswobadzając tenże. Potężne targnięcie cięciwy wyrывa kciuk z dotychczasowego położenia, kciuk prostuje się gwałtownie i strzała z furkotem cięciwy leci do celu. Do tej pory ni razu nie udało mi się zwolnić cięciwy bez silnego szarpnięcia, w wyniku, którego całe moje ciało doznawało widocznego wstrząsu - co nie pozostawało bez wpływu na zachowanie łuku i strzały. Jest rzeczą zrozumiałą, że nie mogło być mowy o tym, by strzał został oddany płynnie, a tym bardziej pewnie. W tych warunkach po prostu musiał on być "chwiejny".

- Wszystko, czego dotychczas się nauczyłeś - rzekł Mistrz pewnego dnia, gdy stwierdził, że naciągam łuk bez zarzutu, przy pełnym rozluźnieniu mięśni - dotyczyło jedynie przygotowań do zwalniania cięciwy. Stajemy teraz wobec nowego, szczególnie trudnego zadania, a tym samym wkraczamy w nowy etap poznawania sztuki łucznictwa.

Z tymi słowy Mistrz ujął swój łuk, napiął go i oddał strzał. Dopiero teraz, świadomie obserwując ten ruch, spostrzegłem, że prawa dłoń Mistrza, którą nacisk cięciwy otworzył i oswobodził, targnęła się wprawdzie w tył, lecz mimo to całe ciało ani drgnęło. Prawa ręka, aż do

chwili oddania strzału zgięta pod kątem ostrym, pod wpływem gwałtownego szarpnięcia odchyliła się do tyłu, lecz potem już wyprostowała się sama, płynnym ruchem. Nieuniknione szarpnięcie zostało zamortyzowane i zneutralizowane.

Gdyby o mocy strzału nie świadczył ostry dźwięk drżącej cięciwy - "chap!" - oraz siła, z jaką pocisk przeszył cel, nikt by nie przypuszczał, że strzał istotnie został oddany. W wykonaniu Mistrza zwolnienie cięciwy wydawało się zadaniem prostym, niestawiającym wysokich wymagań, wręcz dziecinną igraszką. Piękny widok przedstawia sobą człowiek, bez wysiłku dokonujący czynu, wymagającego wielkiej siły. Cały Wschód, nader wrażliwy na ten rodzaj piękna, darzy go szczególnie wdzięcznym poważaniem. Dla mnie jednak - a na tym etapie nie bardzo mogłem rozumować inaczej - ważniejszy był fakt, że pewność trafienia najwidoczniej zależała od tego, czy cięciwa zostanie zwolniona ruchem płynnym, bez wstrząsów. Dzięki niejakiemu doświadczeniu w strzelaniu z karabinu wiedziałem, jakie skutki miewa szarpnięcie, powodujące nawet lekkie odchylenie lufy od linii, ustalonej podczas celowania. Z tego punktu widzenia czytelne stało się wszystko, czego dotychczas się nauczyłem i co osiągnąłem: naciąganie łuku - bez naprężania mięśni, utrzymywanie łuku w największym napięciu - bez naprężania mięśni, zwalnianie cięciwy - bez naprężania mięśni... Czyż wszystko to nie służyło wzniosłemu celowi, jakim jest trafienie w tarcze? Czy nie po to właśnie z takim trudem, z taką cierpliwością poznajemy arkana łucznictwa? Czemu więc Mistrz wyrażał się tak, jakby obecnie zaprzatający naszą uwagę proces miał wielokroć większe znaczenie, aniżeli wszystko to, cośmy dotychczas przeciwiczyli i do czegośmy nawykli?

Jak było, tak było. Ja w każdym razie ćwiczyłem pilnie i sumiennie, zgodnie z wskazaniem Mistrza, a mimo to wysiłek mój wciąż był daremny. Często miewałem wrażenie, że dawniej, gdy zwalniałem cięciwę bez namysłu, zdając się na los szczęścia, strzelałem lepiej. Nade wszystko zauważyłem, że nie mogę otworzyć prawej dłoni, a zwłaszcza wyprostować palców, ściskających kciuk, inaczej niż kosztem znacznego wysiłku powodowało to szarpnięcie w chwili zwolnienia cięciwy, przez co lot strzały był niepewny. Tym bardziej zaś nie byłem w stanie amortyzować ruchu nagle oswobodzonej ręki. Mistrz niestrudzenie demonstrował prawidłowy sposób zwalniania cięciwy, ja niestrudzenie starałem się naśladować go - z tym jedynym skutkiem, że coraz bardziej traciłem pewność. Byłem jak stonoga, niezdolna ruszyć z miejsca, odkąd zaczęła zastanawiać się, w jakiej kolejności winny maszerować jej nogi.

Mistrz najwidoczniej mniej niż ja sam przerażony był moimi niepowodzeniami. Czy wiedział z doświadczenia, że do tego dojdzie?

- Nie myśl, co masz zrobić, nie zastanawiaj się, jak to wykonać! - wołał. - Strzał tylko wtedy można oddać w sposób płynny, jeśli dla samego łucznika jest on zaskoczeniem - tak, jakby cięciwa nagle przecięła przytrzymujący ją kciuk. Nie wolno z rozmysłem otwierać prawej dłoni.

Nastąpiły tygodnie i miesiące bezowocnych ćwiczeń. Choć raz po raz brałem wzór z Mistrza, który pokazywał, jak należy strzelać, choć widziałem na własne oczy, na czym polega prawidłowe zwolnienie cięciwy, mnie samemu ani razu się to nie udało. Jeśli daremnie wyczekiwałem strzału, aż napięcie stawało się nie do zniesienia, i w końcu dawałem za wygraną, moje ręce pomалуś spotykały się, ściągnięte przemocą, i strzał w ogóle nie dochodził do skutku. Jeśli zaś z ponurą zawziętością wytrzymywałem napięcie, aż zaczynało brakować mi tchu, musiałem w tym celu uciec się do pomocy mięśni rąk i barków. Stałem znieruchomiałym - jak posąg, będący karykaturą Mistrza - lecz zarazem napiętym. Całe moje rozluźnienie ulatniało się.

Może był to przypadek, a może Mistrz celowo zaaranżował te sytuacje - dość, że pewnego dnia piliśmy razem herbatę. Skorzystałem z nadarzającej się okazji do rozmowy i otworzyłem przed Mistrzem serce.

- Doskonale rozumiem - powiedziałem - że dłoni nie wolno rozwierać z gwałtownym

szarpnięciem, bo to psuje strzał. Ale jakkolwiek bym się brał do rzeczy, nigdy mi się nie udaje. Jeśli zacisnę dłoń z całej siły, rozprostowując palce nie mogę zapanować nad jej drżeniem. Jeśli natomiast staram się, aby dłoń była rozluźniona, cięciwa wyrywa mi się z uchwytu, nim ją do końca naciągnę - to prawda, że wyrywa się nieoczekiwanie, ale też i przedwcześnie. Tkwię uwięziony między tymi dwoma rodzajami niepowodzeń, nie widząc wyjścia.

- Musisz trzymać naciągniętą cięciwę. - odparł Mistrz - tak jak dziecko trzyma palec, który mu podsunęto: uchwytem tak mocnym, że człowiek zdumiewa się, skąd w małej piątce tyle siły. Gdy jednak dziecko puszcza palec, obywa się bez najmniejszego wstrząsu. Czy wiesz, dlaczego? Dlatego, że dziecko nie myśli: teraz puszcza palec, żeby złapać, co innego. Zupełnie nieświadomie, naturalnie, bez określonego zamiaru zwraca się od jednej rzeczy ku drugiej. Można by powiedzieć, że bawi się nimi, ale równie prawdziwe byłoby spostrzeżenie, iż to one bawią się z dzieckiem.

- Może nawet rozumiem, dokąd zmierza to porównanie - wtrąciłem. - Ale ja jestem przecież w zupełnie innym położeniu. Skoro naciągnę łuk, przychodzi taka chwila, gdy czuje, że jeśli strzał nie nastąpi natychmiast, nie wytrzymam dłużej napięcia. I cóż się wtedy dzieje? Braknie mi tchu, i tyle. Chcąc nie chcąc muszę zwolnić cięciwę, bo nie jestem w stanie dłużej czekać na strzał.

- Twój opis sytuacji - powiedział Mistrz - świetnie ukazuje, na czym polega trudność. Czy wiesz, dlaczego nie możesz doczekać się strzału, i czemu braknie ci tchu, nim strzał nastąpi? Trzymasz samego siebie na uwięzi, i dlatego prawidłowy strzał nie następuje we właściwym momencie. Nie oczekujesz spełnienia, lecz natężasz się, żeby stawić czoła niepowodzeniu. Tak postępując, masz tylko jedną możliwość: musisz sam przywoływać coś, co powinno wydarzyć się niezależnie od twojej woli. Póki zaś sam przywołujesz to zdarzenie, twoja dłoń nie może rozewrzeć się prawidłowo - jak dłoń dziecka. Twoja dłoń nie otwiera się tak, jak pękająca skórka dojrzałego owocu.

Musiałem przyznać, że taka wykładnia wprawia mnie w tym większe pomieszenie.

- Bo przecież w końcu - powiedziałem - po to naciągam łuk i zwalniam cięciwę, żeby trafić w tarcze. A więc napinanie łuku to środek, prowadzący do celu. Nie mogę nie dostrzegać tego związku. Dziecko nic o tym nie wie, ale dla mnie te dwie sprawy są nierozłączne.

- Prawdziwa sztuka, słuszną sztuką - wykrzyknął Mistrz - niczego za cel sobie nie stawia, do nikąd nie zmierza! Z im większym uporem będziesz próbował nauczyć się strzelać po to, żeby strzała trafiła do celu, tym gorzej będziesz strzelał i tym bardziej cel będzie się oddalał. Przeszkadza ci twoja wola, zbyt uparta i samowolna. Wydaje ci się, że czegoś sam nie dokonasz, to i się nie stanie.

- Ale Mistrz tyle razy mówił mi przecież, że łucznictwo to nie rozrywka, nie bezcelowa zabawa, lecz sprawa życia i śmierci!

- Nadal przy tym obstać. My, mistrzowie łucznictwa, powiadamy: jeden strzał - jedno życie! Na razie nie możesz jeszcze zrozumieć, co to znaczy. Ale może ułatwi ci zrozumienie inny obraz, w którym zawiera się to samo doświadczenie. My, mistrzowie łucznictwa, powiadamy: górnym końcem łuku strzelec przeszywa niebo, u dolnego zaś końca zwisa ziemia, jak gdyby zawieszona na nitce. Jeśli zwolnienie cięciwy powoduje szarpnięcie, grozi to zerwaniem nici. Dla ludzi o gwałtownym usposobieniu, zdecydowanie dążących do wytkniętego celu, jest to pęknięcie ostateczne: pozostają oni w straszliwym zawieszeniu, między niebem a ziemią.

- Cóż więc mam robić?

- Musisz nauczyć się czekać prawidłowo.

- A jak można się tego nauczyć?

- Zwalniając samego siebie z uwięzi, wyrzekając się siebie i wszystkiego, co twoje - wyrzekając się tak zupełnie, by nie zostało z ciebie nic prócz wyzbytego wszelkich dążeń

napięcia.

- A więc muszę dążyć do tego, żeby wyzbyć się dążeń? - usłyszałem własne pytanie.
- O to nie pytał mnie jeszcze żaden uczeń, więc nie umiem ci odpowiedzieć.
- A kiedy zaczniemy te nowe ćwiczenia?
- Poczekaaj, przyjdzie pora.

* * *

Rozmowa ta - pierwsza poufna rozmowa, odkąd zacząłem naukę - wprowadziła mnie w niesłychane pomieszczenie. Nareszcie dotknęliśmy tematu, dla którego podjąłem naukę łucznictwa. Czy to uwolnienie samego siebie z uwięzi, o którym wspominał Mistrz, nie było etapem na drodze do stanu pustki i oderwania? Czy nie dotarłem w swym rozwoju do etapu, na którym mogłem już odczuć, jak zen oddziałuje na sztukę łucznictwa? Na razie nie potrafiłem jeszcze zgłębić związku, zachodzącego między umiejętnością wolnego od wszelkich dążeń wyczekiwania, a zwalnianiem cięciwy w porę - wtedy, gdy napięcie samo przez się osiągnie pełnię. Po cóż jednak wybiegać myślą naprzód, starając się ogarnąć nią coś, o czym tylko doświadczenie może nas pouczyć? Chyba najwyższy czas porzucić ten jałowy nałóg? Jakże często zazdrościłem skrycie wszystkim tym uczniom, którzy jak dzieci pozwalali Mistrzowi prowadzić się za rękę. Jakaż to musi być rozkosz, umieć poddać się bez zastrzeżeń. Postawa taka niekoniecznie prowadzić musi do obojętności czy duchowej stagnacji. Ale dzieciom wolno chyba przynajmniej pytać?

Podczas następnej lekcji Mistrz - ku memu rozczarowaniu - kontynuował dotychczasowe ćwiczenia: naciąganie i trzymanie łuku oraz zwalnianie cięciwy. Lecz choć zachęcał mnie jak mógł, nic to nie dało. Zgodnie z jego wskazówkami próbowałem nie ulegać, lecz znosić napięcie, starając się przezwyciężyć je i przekroczyć, jak gdyby sama natura łuku nie stawiała żadnych ograniczeń; usiłowałem doczekać chwili, gdy napięcie wypełni się i rozwiąże w strzał. Mimo moich wysiłków wszystkie/strzały były poronione, sfuszerowane, niepewne, jakby zauroczone. Dopiero, gdy jasnym się stało, że kontynuowanie tych ćwiczeń jest nie tylko bezcelowe, ale wręcz jawnie niebezpieczne, ponieważ przed każdym kolejnym strzałem coraz bardziej prześladowało mnie przeczucie porażki, Mistrz nakazał przerwę i podjął zupełnie inny wątek.

- Odtąd - przykazał nam - idąc na lekcje, już po drodze musicie się koncentrować. Skupcie się na tym, co dzieje się w sali ćwiczeń, a wszystko inne mijajcie, nie zauważając, jakby na świecie tylko łucznictwo było ważne i rzeczywiste.

Proces zwalniania samego siebie z uwięzi także został podzielony na osobne etapy, z których każdy należało dokładnie opracować. Również i tym razem Mistrz poprzestawał na zwięzłych napomknieniach: aby uczeń mógł wykonać tego rodzaju ćwiczenia, dosyć będzie, jeśli zrozumie, a w niektórych przypadkach zaledwie zgadnie, czego się od niego wymaga. Toteż nie ma potrzeby definiowania różnic, które zgodnie z tradycją określa się w sposób obrazowy. Kto wie, czy obrazy te, które stulecia doświadczeń wydały na świat, nie sięgają głębiej, niż cała nasza starannie wyrachowana wiedza?

Pierwszy krok na tej drodze już żeśmy uczynili, a skutkiem jego było rozluźnienie całego ciała: w przeciwnym razie nie można by prawidłowo naciągnąć łuku. Aby zaś można było w przepisowy sposób zwolnić cięciwę, rozluźnienie fizyczne musi pociągnąć za sobą rozluźnienie umysłowe i duchowe, dzięki któremu umysł zyskuje nie tylko bystrość, ale i swobodę: bystrość zawdzięcza swobodzie, a swobodę - pierwotnej bystrości, różniącej się zasadniczo od

wszystkiego, czemu zazwyczaj nadaje się miano bystrości umysłu. Między stanem fizycznego rozluźnienia a stanem duchowej swobody zachodzi więc różnica poziomu, której nie można przewyciężyć dzięki samemu tylko panowaniu nad oddechem. Jedyńy sposób, to wycofać się z wszelkich przywiązań, całkowicie wyzbyć się własnego ja, aby dusza, zatopiona w sobie, mogła stanąć w całej okazałości swego niewysłowionego rodowodu.

Warunek, nakazujący zamknąć wrota zmysłów, można spełnić nie tyle odwracając się zdecydowanie od świata zmysłowo poznawalnego, co będąc gotowym ulec bez oporu. Aby taka bezczynna czynność mogła dokonać się instynktownie, duszy potrzebny jest wewnętrzny punkt oparcia, który zyskuje ona dzięki temu, że skupia się na oddychaniu. Proces ten dokonuje się świadomie, z sumiennością na pograniczu pedanterii. Wdech i wydech są przedmiotem osobnych, wielokrotnych ćwiczeń, Wykonywanych z najwyższą uwagą. Wyniki nie każą długo na siebie czekać: im bardziej człowiek skupia się na oddechu, na tym dalszy plan schodzą bodźce zewnętrzne, zatopione w swojego rodzaju słumionym szumie, który początkowo słyszy się tylko jednym uchem. Po pewnym czasie dźwięk ten nie bardziej przeszkadza, aniżeli odległy szum morza, który siłą przyzwyczajenia przestaje do nas docierać. Z czasem stajemy się niedosiężni nawet dla znaczniejszych bodźców, a zarazem z coraz większą łatwością i szybkością umiemy się od nich oderwać. Należy tylko dbać o to, aby ciało - czy to w pozycji stojącej, siedzącej czy leżącej - było rozluźnione. Skupiając się na oddechu czujemy wówczas, że szczelnie otaczają nas nieprzenikalne warstwy ciszy. Tylko to wiemy i czujemy, że oddychamy. Aby z kolei oderwać się od tej wiedzy i tego poczucia, nie musimy podejmować odrębnej decyzji, ponieważ rytm oddechu sam przez się staje się coraz wolniejszy, coraz oszczędniej zużywamy powietrze, aż w końcu sam oddech stopniowo zamazuje się, rozmywa, staje się jednostajny, i wreszcie całkiem uchodzi naszej uwagi.

Niestety, ten wspaniały stan obojętnego zatopienia w sobie nie trwa długo. Grozi mu to niebezpieczeństwo, że zostanie zakłócony od wewnątrz. Nastroje, uczucia, pragnienia, niepokoje, nawet myśli - jakby wyrosły znikąd -wzbierają niepokohowanie, w bezsensownym nieładzie, a im bardziej są nieprawdopodobne i groteskowe, im mniej mają wspólnego z tym, na czym dotychczas skupialiśmy naszą świadomość, tym trudniej się od nich uwolnić. Jak gdyby chciały zemścić się na świadomości za to, że wkroczyła w rejony, których inną drogą nigdy by nie dosięgła- Zakłócenia te unieszkodliwić można jedynie oddychając nieprzerwanie, spokojnie i obojętnie, nawiązując przyjazne stosunki ze wszystkim, co pojawia się w polu widzenia, do wszystkiego się przyzwyczajając, na wszystko patrząc niewzruszenie, aż samo patrzeć nas zmęczy. W ten sposób stopniowo osiąga się stan, przypominający topnienie świadomości na krawędzi snu.

Istnieje zresztą niebezpieczeństwo, że koniec końców zapadnie się w sen, i tego właśnie należy się wystrzegać. Ratować się można, wykonując swoisty "skok koncentracji" - jak człowiek, który po nieprzespanej nocy siłą woli, niejako gwałtem, nie pozwala sobie zasnąć, gdyż wie, że jego życie zawisło od tego, czy wszystkie jego zmysły zachowają czujność. Jeśli "skok" taki, choć raz się powiedzie, można go już potem powtarzać, będąc całkowicie pewnym powodzenia. Dzięki takiemu "skokowi" dusza zaczyna wibrować sama z siebie i sama w sobie, pogodną, spokojną pulsacją, której natężenie może wzrosnąć, dając nam poczucie -skądinąd zdarzające się tylko w niezbyt częstych snach - niezwykle lekkości, uniesienia, jakie towarzyszy pewności, iż potrafimy przywołać energię zewsząd i w każdym kierunku wzmóc lub wyzwoić napięcie, odmierzone, co do joty.

Stan ten, w którym o niczym konkretnym się nie myśli, niczego się nie planuje, do nikąd się nie dąży, niczego się nie pragnie ani nie oczekuje -stan, który nie będąc w żaden określony sposób ukierunkowanym, mimo to zawiera w sobie tę świadomość, że zdolny jest zarówno do

rzeczy możliwych, jak i niemożliwych, tak, bowiem niezachwiana jest jego moc - ten właśnie stan, który u samych podstaw wyzbyty jest zamierzeń, wyzbyty "ja", Mistrz nazywał stanem "prawdziwego duchowego przeżywania". Stan taki zawiera w sobie ładunek świadomości duchowej, toteż często nazywa go się "stanem należytej przytomności umysłu" - "przytomności", czyli "obecności". Znaczy to, że umysł - czy też duch - jest wszechobecny, bo nie przywiązuje się do żadnego określonego miejsca. Tego rodzaju przytomności nie traci on nawet wtedy, gdy zwraca się ku tej lub owej rzeczy, ponieważ nie przywiera do niej siłą refleksji - co pozbawiłoby go pierwotnej ruchliwości. Tak jak woda, napęliająca staw, gotowa w każdej chwili popłynąć gdzie indziej, duch włada swą niewyczerpaną mocą, ponieważ jest wolny; przed każdą rzeczą może otworzyć się na oścież, ponieważ jest pusty. Stan ten jest w istocie stanem pierwotnym, a jego symbol - pusty okrąg - dla tego, kto stoi wewnątrz, nie jest pusty, lecz pełen znaczenia.

A zatem wyzwolony z wszelkich przywiązań artysta uprawiając swą sztukę brać musi za punkt wyjścia pełnię, tego rodzaju przytomności umysłu, nie zakłócaną niskimi pobudkami. Aby jednak mógł on wtopić się w proces twórczy, własną osobę usuwając w cień, uprawianiu sztuki należy przedtem utorować drogę. Gdyby, bowiem pogrążony w sobie samym artysta stanął wobec sytuacji, w którą nie mógłby wkroczyć instynktownie, jednym skokiem, musiałby w takim razie dopuścić najpierw te sytuacje do świadomości, a więc odnowić wszystkie związki, które już był zerwał. Byłby jak człowiek zbudzony ze snu, który rozważa rozmaite zajęcia, czekające go w ciągu dnia, a nie jak człowiek przebudzony, żyjący i działający w pierwotnym stanie umysłu. Nie miałby wrażenia, że jakaś nadrzędna moc, niczym w zabawie, podaje mu do rąk poszczególne elementy procesu twórczego. Nigdy nie doznałby odurzenia wibracją zdarzeń, objawiających się temu, kto sam jest jedynie wibracją. Nie poczułby, że wszystko, czego dokonuje, dokonuje się samo nim on się o tym dowie.

A więc nieodzowne oderwanie się od świata i samowyzwolenie, zwrócenie do wewnątrz i takie wzmożenie się życia, by można było osiągnąć pełnię przytomności umysłu, tym mniej pozostawia się przypadkowi bądź sprzyjającym okolicznościom, im więcej od owych okoliczności zależy. W żadnym zaś razie nie należy powierzać wywołania tych przemian samemu procesowi tworzenia, (który i tak wymaga od artysty zaangażowania wszystkich zdolności), w nadziei, że pożądane skupienie pojawi się samo przez się. Przed wszelkim czynem i tworzeniem, nim poświęci się swemu zadaniu, nim choćby zacznie się do niego sposobieć, artysta przyzywa te właśnie przytomność umysłu, a dzięki praktyce utwierdza się w przekonaniu, że w pełni nią włada. Początkowo jedynie z rzadka udaje mu się pochwycić ten stan. Gdy zaś umie już wprawić się weń w ciągu paru chwil, stara się powiązać umiejętność koncentracji - tak jak umiejętność oddychania - z łucznictwem. Aby łatwiej wpaść w rytm, lepiej wczuć się w cały proces naciągania łuku i wypuszczania strzały, łucznik klęka na uboczu i zaczyna się koncentrować, po czym Wstaje, uroczyście podchodzi do tarczy i z głębokim pokłonem ofiarowuje łuk i strzały, niczym poświęcone dary. Następnie nasadza strzałę na cięciwę, unosi łuk, napina go i czeka w postawie, w której wyraża się najwyższa czujność ducha. Lotem błyskawicy wypuściwszy strzałę, a zarazem uwolniwszy się od napięcia, łucznik nadal stoi w pozycji, którą przybrał tuż po oddaniu strzału. Dopiero wtedy, gdy powolnym wydechem opróżni płuca i zmuszony jest znów zaczerpnąć tchu, opuszcza bezwładnie ręce, skłania się przed tarczą, i - o ile nie zamierza już strzelać - cicho oddala się.

Tak oto łucznictwo staje się ceremoniałem, w którym przejawia się Wielka Doktryna.

Nawet, jeśli uczeń nie pojmuje jeszcze na tym etapie istotnego znaczenia swych strzałów, rozumie on przynajmniej, czemu łucznictwo nie może być sportem - ćwiczeniem gimnastycznym. Rozumie też, czemu te elementy, które dają się opanować technicznie, należy ćwiczyć aż do przesytu. Jeśli powodzenie zależy od tego, czy strzelec wyzbędzie się dążeń i

zatrze wszelki ślad własnej osoby, zewnętrzne wykonanie strzału nastąpić musi automatycznie - tak, by intelekt niczego już nie musiał kontrolować ani rozważać.

Takie właśnie mistrzowskie opanowanie formy usiłuje wpoić uczniowi szkoła japońska; kurs obejmuje długie okresy coraz intensywniejszych ćwiczeń, powtórzeń i powtórnych powtórzeń. Dotyczy to w każdym razie wszystkich tradycyjnych dyscyplin. Przykład i wzór; intuicja i naśladowanie - oto, na czym opiera się związek między nauczycielem a uczniem. W ciągu ostatnich dziesięcioleci wprowadzono nowe przedmioty, a z nimi europejskie metody nauczania, które zyskały sobie początek popularności i stosowane są z niewątpliwym zrozumieniem. Choć Japończycy bywają zrazu pełni zapału wobec wszelkich nowinek, reformy kształcenia właściwie nie tknęły tradycyjnych japońskich dyscyplin. Jak to jest możliwe?

Niełatwo odpowiedzieć na to pytanie. Trzeba jednak postarać się naszkicować odpowiedź, aby nieco objaśnić tamtejszy sposób nauczania i znaczenie naśladownictwa.

Uczeń japoński przychodzi na lekcje wyposażony w trzy rzeczy: staranne wykształcenie, namiętne umiłowanie wybranej sztuki oraz bezkrytyczne uwielbienie, jakim darzy mistrza. Związek między nauczycielem a uczniem z dawien dawna uchodzi za jedno z najważniejszych życiowych zobowiązań. Dlatego też na nauczyciela spoczywa wielka odpowiedzialność, znacznie przekraczająca zakres jego obowiązków zawodowych.

Od ucznia wymaga się początkowo tylko tego, by sumiennie naśladował wszystko, co pokazuje mu nauczyciel. Ten ostatni unika rozwlekłych pouczeń i objaśnień, poprzestając na zdawkowych poleceniach, nie spodziewając się pytań ze strony ucznia. Niewzruszenie przygląda się jego niezdarnym wysiłkom, bynajmniej nie oczekując od niego niezależności ani inicjatywy: czeka, aż wraz z postępem pojawi się dojrzałość. Obaj mają czas - nauczyciel zbytnio ucznia nie nęka, ten zaś nie bierze na siebie zadań ponad siły.

Będąc dalekim od tego, by próbować przedwcześnie zbudzić w uczniu artystę, nauczyciel uważa, iż jego pierwszym obowiązkiem jest szkolić sprawnego rzemieślnika, w najwyższym stopniu panującego nad swym kunsztem. Do tego celu uczeń dąży niezmordowanie. Jak gdyby nie miał wyższych aspiracji, ze swoistym, tępyim oddaniem pochyla się pod swym brzemieniem, by stwierdzić z biegiem lat, że formy, które doskonale opanował, już nie są mu jarzmem, lecz otwierają przed nim wrota wolności. Z dnia na dzień coraz łatwiej mu jest podążać bez potrzeby pokonywania trudności technicznych za wszelkiego rodzaju natchnieniem. Łatwiej też jest mu przyjąć natchnienie, które nawiedza go dzięki temu, że posiadał umiejętność drobiazgowej obserwacji. Ręka prowadząca pędzel uchwyciła i nakreśliła kształt, unoszący się w umyśle, w tejże chwili, gdy umysł zaczął kształt ten formować. Uczeń sam w końcu już nie wie, czy praca jest dziełem umysłu, czy też ręki.

Aby jednak człowiek mógł dotrzeć do tego etapu, aby dana umiejętność zyskała wymiar duchowy, konieczne jest skupienie wszystkich sił fizycznych i psychicznych - tak, jak w sztuce łucznictwa. Jak wykażą poniższe przykłady, warunku tego nie można pominąć w żadnych okolicznościach.

Malarz siada, zwrócony twarzą do uczniów. Uważnie ogląda pędzel i pomału doprowadza go do stanu użyteczności. Starannie rozciera tusz i rozprostowuje leżący przed nim na macie podłużny arkusz papieru. Wreszcie zapada na chwilę w stan głębokiego skupienia. Wydaje się wówczas zupełnie niedosiężny. Szybкими, z absolutną pewnością wykonywanymi pociągnięciami pędzla maluje obraz, w którym niczego już nie trzeba ani nie można poprawić, mający służyć uczniom jako model. Mistrz układania bukietów zaczyna lekcje od tego, że uważnie rozwiąawszy łyko, którym związane są kwiaty i kwitnące pędy, zwija je starannie i odkłada na bok. Następnie ogląda z uwagą każdą gałązkę, by po powtórnych oględzinach wybrać najlepsze pędy. Te wygina, nadając im kształt, dokładnie odpowiadający roli, jaką mają odegrać.

Wreszcie układa je w przepięknym wazonie. Gotowy obraz wygląda tak, jakby mistrz odgadł, co sama przyroda ujrzała przelotnie w swych mrocznych snach.

W obu przypadkach - do których muszę zawęzić mą relację - mistrzowie zachowują się tak, jakby byli sami. Zaledwie raczą uczniów obdarzyć spojrzeniem, a tym bardziej słowem. Owe wstępne posunięcia wykonują jakby w zadumie i w spokoju. W procesie kształtowania i tworzenia obrazu czy też bukietu ich własna osoba całkowicie znika z pola widzenia. Zarówno im samym, jak i uczniom zdawać się może, iż całe zdarzenie rozgrywa się samo przez się - poczynając od wstępnych operacji, a na gotowym dziele kończąc. Przyznam, że w całym działaniu tyle jest ekspresji, iż widzę podziwia je niczym obraz.

Czemu jednak nauczyciel nie powierzy tych przygotowań, aczkolwiek nieuniknionych, doświadczonemu uczniowi? Czy to, że osobiście rozciera tusz, że precyzyjnymi ruchami palców rozwiązuje łyko, miast przeciąć je i rzucić niedbale, dodaje skrzydeł jego wyobraźni i zdolnościom plastycznym? Pod wpływem, jakiego to nakazu powtarza cały ten proces na każdej lekcji, i - z tym samym nieubłagany uporem - zmusza uczniów, aby bez najmniejszych odchyłeń naśladowali jego postępowanie? Otóż nauczyciel pozostaje wierny temu uświęconemu tradycją obyczajowi, wiedząc z doświadczenia, że przygotowania do pracy wprowadzają go zarazem w stan ducha, który sprzyja tworzeniu. Towarzyszący im nastrój spokojnej medytacji pozwala mu osiągnąć owo nieodzowne rozluźnienie, zrównoważenie wszelkich mocy, skupienie i przytomność umysłu, bez których żadnej pracy nie można należycie wykonać. Zatopiony w czynnościach, którym się oddaje, nie mając żadnego określonego celu na widoku, mistrz staje twarzą w twarz z chwilą, gdy dzieło, którego idealny zarys unosi się, przed nim, spełnia się jakby samo przez się. Tak jak w łucznictwie kroki i postawy, tak i tu innego rodzaju przygotowania - choć w odmiennej postaci - mają to samo znaczenie. Jedynie w dziedzinach, których zasada ta nie dotyczy - na przykład w sakralnym tańcu i teatrze - odnajdywanie i zatapianie się w sobie praktykowane jest przed wejściem na scenę.

Nie ma, co do tego wątpliwości, że każda z tych dziedzin sztuki stanowi - tak jak łucznictwo - pewien obrządek, za pośrednictwem, którego uczeń dowiadyuje się. - z większą jasnością, niż gdyby mu to powiedział nauczyciel, ujmując rzecz w słowa - iż artysta wtedy tylko może osiągnąć właściwy stan ducha, gdy przygotowanie i tworzenie, technika i artyzm, materia i duch, zamysł i skutek płyną jednym, nieprzerwanym nurtem. I tak oto uczeń znajduje nowy przedmiot rywalizacji: wymaga się teraz od niego, aby w pełni opanował rozmaite metody osiągania skupienia i usuwania w cień własnej osoby. Naśladownictwo, którego przedmiotem nie są już obiektywne treści, jakie każdy przy odrobinie dobrej woli jest w stanie odtworzyć, staje się mniej ściśle, bardziej ulotne, dalej wkracza w dziedzinę ducha. Uczeń przeczuwa, że lada chwila otworzą się przed nim nowe możliwości, zarazem jednak odkrywa, że ich ziszczenie w żadnym stopniu nie zależy od jego dobrej woli.

Nawet, jeśli talent jego przetrwa mimo naporu rosnących trudności, uczeń i tak napotka na drodze wiodącej do mistrzostwa jedno niebezpieczeństwo, na dobrą sprawę nieuniknione. Nie grozi mu to, że zmarnuje się tonąc w jałowym samozadowoleniu, Wschód nie jest, bowiem skłonny darzyć "ja" takim uwielbieniem. Istnieje jednak niebezpieczeństwo, że adept uwięźnie wśród własnych osiągnięć, które jego powodzenie potwierdzają, a sława powiększa: innymi słowy, grozi mu to, że będzie tak postępował, jakby żywot artysty był formą istnienia, która samą siebie uwierzytelnia.

Przewidując to niebezpieczeństwo, nauczyciel uważnie, ze zręcznością przewodnika dusz w zaświaty, stara się w porę przychwycić ucznia, aby odwrócić jego uwagę od własnej - ucznia - osoby. Z tą myślą wspomina mimochodem - jak gdyby rzecz nie warta była uwagi, skoro uczeń tyle już posiadał umiejętności - że jedynie działając całkowicie bezinteresownie, nie będąc już

“osobiście” obecnym, można cokolwiek wykonać w sposób należyty. W stanie tym obecny jest jedynie duch, swoista świadomość, nieskalana poczuciem własnego “ja”, zdolna, zatem przemierzać bez ograniczeń dowolne odległości i głębie - świadomość, mająca “oczy ku słyszeniu i uszy ku patrzeniu”. W ten sposób nauczyciel wyprawia ucznia w coraz to dalsze podróże po samym sobie. Stając się coraz bardziej chłonnym, uczeń dorasta z czasem do tego, by nauczyciel ukazał mu coś, o czym tamten niejednokrotnie słyszał, a co dopiero teraz, w oparciu o własne doświadczenie, zaczyna być dlań uchwytny. Jest bez znaczenia, jak nauczyciel rzecz tę nazwie, i czy w ogóle ją nazwie. Nawet, jeśli zachowa całkowite milczenie, uczeń i tak go zrozumie.

Ważny natomiast jest fakt, że w ten sposób zapoczątkowuje się ruch skierowany do wewnątrz. Podążając trop w trop, nauczyciel nie próbuje ukierunkować tego ruchu przy pomocy wskazówek, mogących, co najwyżej zakłócić jego bieg, lecz pomaga uczniowi, najskryciej i najserdeczniej, jak umie: wedle przyjętego wśród buddystów określenia, nauczyciel obdarza ucznia bezpośrednim przekazem z umysłu do umysłu. Tak jak od płonącej świecy zapala się inne świece, tak i nauczyciel potrafi natchnąć uczniów duchem, właściwym danej sztuce, przekazując go wprost z serca do serca, aby użyczyć mu światła. Otrzymawszy taki dar, uczeń pamięta, że od wszelkiej pracy, jaka dokonuje się na zewnątrz, jakkolwiek byłaby ona atrakcyjna, ważniejsza jest praca wewnętrzna, którą musi on wykonać, o ile chce wypełnić swoje powołanie artystyczne.

Jednakże ta wewnętrzna praca polega na tym, by człowieka, którym jest uczeń, owo “ja”, którym on sam sobie się zdaje, którym - jak stwierdza nieustannie - sam jest, przekształcić w materiał, poddający się formowaniu, mającemu na celu osiągnięcie mistrzostwa. W toku tej pracy artysta i człowiek stają się jednym, tworząc formę wyższą. Mistrzostwo, bowiem wtedy tylko się uwierzytelnia, gdy spowija je bezgraniczna Prawda. W niej mając oparcie, staje się ono sztuką pierwotną.

Mistrz to ktoś, kto już nie szuka, lecz jedynie znajduje. Jako artysta jest on człowiekiem w typie kapłańskim. Jako człowiek - artystą, w którego serce podczas wszelkich działań i nie działań, prac i oczekiwań, bytów i niebytów spogląda Budda. Człowiek, sztuka i praca są jedną. Sztuka pracy wewnętrznej, która - w przeciwieństwie do pracy zewnętrznej - nie zapiera się artysty, której nie może on “uprawiać”, mogąc jedynie nią “być”, ma swe źródło w głębinach, o których światło dnia nic nie wie.

Stroma jest droga, wiodąca do mistrzostwa. Często zdarza się, że uczeń tylko, dlatego nie ustaje w marszu, iż podtrzymuje go wiara w nauczyciela, którego mistrzostwo dopiero teraz zaczyna on sobie uzmysławiać. Nauczyciel to żywy przykład pracy wewnętrznej, który przekonuje samą swoją obecnością.

Nauczyciel i mistrz nie troszczy się o to, jak daleko uczeń zajdzie na tej drodze. Ledwo wskazawszy mu kierunek, nauczyciel musi ucznia opuścić, aby dalej szedł sam. Jeszcze tylko jedno może uczynić, chcąc pomóc mu znieść tę samotność: odprawiając go, oddalając go od siebie, napomina, aby uczeń zaszedł dalej, niż on sam -aby “stał na ramionach nauczyciela”.

Dokądkolwiek zawiedzie go ta droga, uczeń nigdy nauczyciela nie zapomni, nawet, jeśli straci go z oczu. Z wdzięcznością równie wielką, jak bezkrytyczne uwielbienie początkującego, równie silną, jak zbawcza wiara artysty, zajmuje oto miejsce swego mistrza, gotów do wszelkich poświęceń. Niezliczone przykłady, sięgające niedawnej przeszłości, świadczą, iż wdzięczność ta wielokrotnie przewyższa wszystko, co przyjęte jest wśród przedstawicieli rodzaju ludzkiego.

* * *

Czułem, że z każdym dniem coraz łatwiej - wpadam w rytm ceremoniału, będącego wykładem Wielkiej Doktryny łucznictwa, że odprawiam ów obrządek bez wysiłku - a ściślej mówiąc, że to sam ceremoniał niesie mnie, jak we śnie. Do tej pory przewidywania Mistrza potwierdzały się. Nie mogłem jednak zapobiec temu, że moja koncentracja słabła akurat wtedy, gdy powinien nastąpić strzał. Wyczekiwanie w punkcie największego napięcia było tak męczące, że napięcie to słabło; co więcej, tak przy tym cierpiałem, że - nieustannie wyrwany ze stanu zatopienia w sobie samym - musiałem skupiać uwagę na wykonaniu strzału.

- Przestań myśleć o strzelaniu! - krzyczał Mistrz. - W ten sposób na pewno ci się nie uda.

- Nic nie poradzę - odpowiadałem. - Od tego napięcia zanadto mnie boli.

- Czujesz ból tylko, dlatego, że w rzeczywistości nie zwolniłeś jeszcze samego siebie z uwięzi. To bardzo proste. Od zwykłego liścia bambusowego możesz się dowiedzieć, co powinno się stać. Pod ciężarem śniegu liść taki coraz bardziej się ugina. Nagle śnieg ześlizguje się na ziemię, a liść ani przy tym drgnie. Właśnie w ten sposób wytrzymaj stan największego napięcia, aż strzał sam z ciebie "spadnie". Bo właśnie tak to jest: kiedy napięcie się wypełni, strzał musi "spaść"; musi "spaść" z łuczника, jak śnieg z bambusowego liścia, zanim łucznik pomyśli o strzale.

Cokolwiek bym uczynił, cegokolwiek bym zaniechał - nie byłem w stanie wyczekać, aż strzał "spadnie". Jak przedtem, tak i teraz, nie mając wyboru, z rozmysłem zwalniałem cięciwę. Uporczywie powtarzające się niepowodzenia wprawiały mnie w tym większe przygnębienie, że minęły już trzy lata, odkąd rozpocząłem naukę. Nie będę ukrywał, że wiele godzin upłynęło mi na ponurych rozważaniach, czy istnieje jakiegokolwiek usprawiedliwienie dla takiego marnotrawstwa czasu, które najwidoczniej w żaden zrozumiały sposób nie wiązało się z niczym, czego dotychczas się nauczyłem i co do tej pory przeżyłem. Nieco wcześniej pewien mój rodak stwierdził sarkastycznie, że z Japonii wywieźć można cenne znaleziska, znacznie istotniejsze, niż jakaś tam nędzna sztuka. Zdanie to znów ożyło w mej pamięci. Pytanie znajomego o to, jak mianowicie zamierzam wykorzystać mą sztukę, jeśli zdołam w końcu jej się nauczyć - choć je zrazu zlekceważyłem - nie wydawało mi się już tak całkiem absurdalne.

Mistrz musiał wyczuć, co się we mnie dzieje. Pan Komachiya doniósł mi potem, że Mistrz próbował przebrnąć przez napisaną po japońsku książkę, będącą wprowadzeniem do filozofii, aby dowiedzieć się, jak można mi pomóc w oparciu o coś, co już jest mi znane. W końcu jednak z niezadowoloną miną odłożył książkę, stwierdzając, że teraz już rozumie, iż człowiekowi, którego zajmują takie sprawy, nauka łucznictwa sprawiać musi niezwykle trudności.

Wakacje letnie spędziliśmy nad morzem, w odosobnieniu, pośród spokojnego, marzycielskiego krajobrazu, wyróżniającego się delikatnym pięknem. Z całego wyposażenia, jakie ze sobą zabraliśmy, najważniejsze były nasze łuki. Dzień w dzień koncentrowałem się na zwalnianiu cięciwy. Stało się to mą idee fixe, aż zapomniałem o przestrodze Mistrza, który mówił nam, byśmy ćwiczyli jedynie pogrążanie się w sobie, z równoczesnym oderwaniem się od siebie samego. Rozważając wszystkie możliwości, doszedłem do wniosku, że błąd nie może tkwić tam, gdzie Mistrz się go domyśla: w tym, że nie dość wyrzekłem się celowości działania i własnego ja, lecz z pewnością polega na tym, że palce prawej dłoni zbyt mocno ściskają cięciwę. Im dłużej musiałem czekać na strzał, tym mocniej je ściskałem, konwulsyjnie a bezwiednie. "Nad tym - powiedziałem sobie - trzeba popracować". Niewiele czasu minęło, nim rozwiązałem problem w sposób jasny i oczywisty: jeśli naciągnąwszy cięciwę ostrożnie zwalniałem nacisk palców na kciuk, ten, już nie przytrzymywany całą siłą, wyrwał się z dotychczasowego położenia - zdawałoby się - spontanicznie. Tym sposobem można było błyskawicznie zwolnić cięciwę, a strzał jak najoczywiściej "spadał niczym śnieg z bambusowego liścia". Wśród faktów, przemawiających za słusnością tego odkrycia, nie najmniej ważne było to, że technika ta łudząco przypominała technikę stosowaną w strzelaniu z karabinu, kiedy to palec wskazujący

zgina się pomału, aż nieustannie malejący jego nacisk przewycięży ostatek oporu.

Bardzo szybko udało mi się przekonać samego siebie, że jestem na właściwym tropie. Niemal wszystkie strzały były w moim pojęciu płynne i nieoczekiwane. Oczywiście, nie mogłem nie zauważyć odwrotnej strony tego sukcesu: precyzyjna praca prawej dłoni wymagała skupienia całej mej uwagi. Pocieszałem się jednak nadzieją, iż owo techniczne rozwiązanie z czasem tak dalece wejdzie mi w nawyk, że w końcu zupełnie nie będę już musiał poświęcać mu uwagi, a pewnego dnia zdołam dzięki niemu oddać strzał w pełni nieświadomie, zapomniawszy się całkowicie, w chwili największego napięcia; w takim zaś razie sprawność techniczna sama przez się weszłaby w sferę ducha. Coraz bardziej utwierdzając się w tym przekonaniu, uciszałem narastający we mnie głos sprzeciwu; ignorowałem też słowa żony, która odradzała mi takie postępowanie. Wyjeżdżałem z uczuciem zadowolenia, że uczyniłem znaczący krok naprzód.

Po wznowieniu lekcji pierwszy strzał oddałem, jak mi się zdawało, świetnie, zwalniając cięciwę płynnie i nieoczekiwanie. Mistrz przyglądał mi się przez chwilę, po czym rzekł z wahaniem, jakby nie dowierzał własnym oczom:

-Jeszcze raz, proszę!

Miałem wrażenie, że drugi strzał udał mi się jeszcze bardziej niż pierwszy. Mistrz podszedł do mnie, bez słowa odebrał mi łuk i siadł na poduszce, zwrócony do mnie plecami. Wiedząc, co to znaczy, odszedłem.

Nazajutrz pan Komachiya oznajmił mi, że Mistrz nie zamierza dalej mnie uczyć, ponieważ próbowałem go oszukać. Gdy usłyszałem taką wykładnię mego postępowania, ogarnęła mnie groza bez miary. Wy tłumaczyłem panu Komachiya, czemu - w obawie, że nigdy nie ruszę z miejsca - wynalazłem taki sposób strzelania. Kiedy pan Komachiya wstawił się za mną, Mistrz zgodził się wreszcie ustąpić, pod tym jednak warunkiem, że złoży wyraźną obietnicę, iż nigdy więcej nie znieważę ducha Wielkiej Doktryny.

Gdyby nie wyleczyło mnie głębokie zawstydzenie, z pewnością podziałałoby tak zachowanie Mistrza, który - ani słowem nie wspominając o całym zdarzeniu - rzekł tylko spokojnie:

- Sam widzisz, jakie są skutki, kiedy człowiek nie umie czekać w największym napięciu, do niczego nie dążąc. Nawet tego nie umiesz się nauczyć, nie zadając sobie nieustannie pytania: "Czy mi się uda?" Czekaj cierpliwie - zobaczysz, co się stanie. I jak się stanie!

Zwróciłem Mistrzowi uwagę, iż uczę się już od czterech lat, a czas mego pobytu w Japonii jest ograniczony.

- Nie da się zmierzyć drogi wiodącej do celu! Cóż znaczą tygodnie, miesiące, lata?

- A jeśli będę musiał przerwać w pół drogi? - spytałem.

- Będiesz mógł przerwać w każdej chwili, kiedy całkowicie wyzbędziesz się siebie. W tym się ćwicz.

Zaczęliśmy więc raz jeszcze od samego początku - jakby wszystko, czego nauczyłem się dotychczas, stało się bezużyteczne. Ale wyczekiwanie w największym napięciu okazało się równie bezowocne, jak uprzednio - jak gdybym nie był w stanie wydostać się z utartej koleiny.

Pewnego dnia spytałem Mistrza:

-Jak może dojść do oddania strzału, jeśli "ja" nie strzele?

- Samo "się" strzela - odparł Mistrz.

- Słyszałem to już parę razy z ust Mistrza, więc spytam inaczej: Jak mogę wyczekiwać, zapominając o sobie, jeśli "mnie" już nie ma?

- Samo "się" czeka w największym napięciu.

- A kim albo, czym jest to "się"?

- Kiedy to zrozumiesz, nie będę ci już potrzebny. Gdybym natomiast próbował naprowadzić cię na trop, zubożając twe własne doświadczenie, byłbym najgorszym z nauczycieli i należałoby

mnie zwolnić z posady! Wiec nie mówmy już o tym. Ćwicz dalej.

Mijały tygodnie, a ja nie posuwałem się ani o krok. Zarazem jednak stwierdziłem, że ani trochę mnie to nie niepokoi. Czyżby zmęczyło mnie już to wszystko? Czy opanuje sztukę łucznictwa, czy nie, czy odkryje poprzez własne doświadczenie, co Mistrz miał na myśli, mówiąc "się", czy znajdę drogę, na której dowiem się, czym jest zen -wszystkie te kwestie stały się nagle tak odległe, tak obojętne, że już się nimi nie przejmowałem. Kilkakrotnie postanawiałem zwierzyć się Mistrzowi, lecz stanąwszy przed nim traciłem odwagę. Byłem przekonany, że usłyszę te samą, monotonną odpowiedź: "Nie pytaj, ćwicz!", i nigdy nic innego. Przestałem więc pytać, a z ochotą przestałbym też ćwiczyć, gdyby Mistrz nie trzymał mnie nieubłagane twardą ręką. Żyłem z dnia na dzień, wywiązując się z obowiązków zawodowych jak umiałem najlepiej, aż wreszcie przestałem biadać nad tym, że cały mój wysiłek ostatnich kilku lat okazał się bez znaczenia.

Aż pewnego dnia, gdy oddałem strzał, Mistrz skłonił się głęboko i przerwał lekcje.

- Otóż właśnie "się" strzeliło! - zawołał, ja zaś patrzyłem nań w osłupieniu. A gdy wreszcie zrozumiałem, co miał na myśli, mimo woli wyrwał mi się radosny okrzyk.

- To, co powiedziałem - rzekł Mistrz surowo -nie było pochwałą, lecz stwierdzeniem, które w ogóle nie powinno było cię dotknąć. Mój pokłon też nie dla ciebie był przeznaczony, bo ty za ten strzał nie ponosisz żadnej odpowiedzialności. Tym razem zapomniałeś się całkowicie, nie żywiąc żadnych zamiarów wytrwać w największym napięciu, i strzał "spadł" z ciebie, jak dojrzały owoc. A teraz ćwicz dalej, jak gdyby nigdy nic.

Sporo czasu musiało upłynąć, nim nastąpiły dalsze udane strzały. Zdarzały się one nieczęsto, a Mistrz sygnalizował każdy z nich głębokim pokłonem. Jak to się działo, że cięciwa sama się zwalniała, choć ja nic w tym celu nie robiłem, i jakim sposobem moja zaciśnięta prawa dłoń nagle otwierała się szeroko i odskakiwała w tył - ani wtedy, ani teraz nie umiałbym wytłumaczyć. Faktem jest, że tak się działo, i tylko to się liczy. Zdołałem osiągnąć przynajmniej tyle, że potrafiłem samodzielnie odróżnić strzał udany od nieudanego. Postronny widz po tym poznaje udany strzał, że ruch prawej ręki, gwałtownie odskakującej do tyłu, zostaje zamortyzowany, dzięki czemu całe ciało nie wpada w drżenie. Natomiast po strzale nieprawidłowym długo powstrzymywany oddech w nagłym wybuchu wyrывa się z płuc, przez co łucznik nie może dość szybko ponowić oddechu. Po strzale prawidłowym następuje płynny, swobodny wydech, po którym strzelec bez pośpiechu wykonuje następny wdech. Serce bije równo, spokojnie; można z niezmaconym skupieniem od razu przystąpić do oddawania kolejnego strzału. Natomiast na samym łuczniku, spoglądającym od wewnątrz, udany strzał wywiera takie wrażenie, jakby właśnie zaczął się dzień. Wprawia go to w nastrój, sprzyjający wszelkim słusznym czynom, oraz - co może jest ważniejsze - wszelkiego rodzaju słusznej bezczynności. Zaiste, rozkoszny to stan.

- Lecz ten, kto go już posiada - rzekł Mistrz z lekkim uśmiechem - dobrze robi, mając go tak, jakby nie miał go wcale. Jedynie w niezłomnym spokoju można przyjąć ten stan w taki sposób, by nie bał się powrócić.

Pewnego dnia Mistrz oznajmił mi, że przejdziemy do nowych ćwiczeń.

- No cóż, przynajmniej najgorsze mamy za sobą - powiedziałem.

- Kto ma przejść sto mil, powinien zakładać, że dziewięćdziesiąt mil to dopiero połowa drogi -Mistrz w odpowiedzi zacytował przysłowie. - Naszym nowym ćwiczeniem będzie strzelanie do tarczy.

Dotychczas role tarczy, a zarazem przeszkody, w którą miały wbijać się chybione pociski, pełnił słomiany zwój na drewnianym stojaku. Ćwiczący stał przed nim w odległości, odpowiadającej długości dwóch strzał, ułożonych jedna za drugą. Natomiast tarcza, ustawiona w odległości mniej więcej dwudziestu metrów, stoi na wysokiej przymie piachu, mającej szeroką

podstawę, usypanej w taki sposób, że wspierają ją trzy ściany pawilonu, zwieńczone - podobnie jak sala, w której stoi łucznik - pięknie wygiętym daszkiem, krytym dachówką. Pawilon i sale łączą drewniane ścianki, zasłaniające przed światem zewnętrznym przestrzeń, w której dzieją się takie dziwy.

Mistrz pokazał nam, jak strzela się do tarczy: obie strzały utkwiły w czarnym polu. Następnie polecił nam, byśmy odprawili ceremoniał dokładnie tak samo jak przedtem, nie zrażając się widokiem tarczy, wyczekując w największym napięciu, aż strzał sam "spadnie". Smukłe bambusowe strzały pomknęły we właściwym kierunku, lecz nie dosięgnąwszy nawet wału piaskowego - nie mówiąc już o tarczy - wbiły się w ziemię tuż przed nią.

- Wasze strzały nie mają nośności - zauważył Mistrz - bo brak im duchowego zasięgu. Musicie postępować tak, jakby cel był nieskończenie daleki. Dla mistrzów łucznictwa jest rzeczą wiadomą i oczywistą, że dobry łucznik potrafi dalej strzelić z łuku o średniej mocy, aniżeli łucznik nie dość rozwinięty duchowo, strzelający z łuku choćby najtęższego. Nie od łuku to zależy, lecz od przytomności umysłu, od żywotności i świadomości, z jaką człowiek strzela. Aby rozpętać całą moc świadomości duchowej, musicie inaczej odprawiać ceremoniał - trochę tak, jak dobry tancerz tańczy. Dzięki temu ruchy wasze płynąć będą z samego centrum, z siedliska prawidłowego oddechu. Zamiast na pamięć odklepywać ceremoniał, będziecie odprawiali go tak, jakbyście stwarzali go pod natchnieniem chwili. W ten sposób taniec i tancerz stają się jednym. Jeśli będziecie odprawiali ceremoniał tak, jakby był to taniec sakralny, wasza świadomość duchowa w pełni się rozwinie.

Nie wiem, w jakim stopniu udawało mi się "odtańczyć" ceremoniał, i jak dalece wobec tego energia obrzędu płynęła z "centrum". Wprawdzie nie strzelałem już na zbyt małą odległość, lecz mimo to nadal nie mogłem trafić w tarczę.. Spytałem więc Mistrza, czemu dotychczas nie wytłumaczył nam zasad celowania. Przypuszczałem, że musi zachodzić jakaś relacja między tarczą a grotem strzały, a więc musi też istnieć przepisowy sposób mierzenia do celu, umożliwiający trafienie.

- Tak, oczywiście - odparł Mistrz. - Z łatwością możesz samodzielnie odszukać pożądaną cel. Lecz choćbyś trafiał za każdym strzałem, będziesz jedynie łucznikiem-sztukmistrzem, który lubi się popisywać. Dla zawodowca, liczącego trafienia, tarcza jest tylko nędznym kawałkiem papieru, który on rozstrzeliwuje na strzępy. Z punktu widzenia Wielkiej Doktryny jest to istne szataństwo. Wielka Doktryna nic nie wie o tarczy, znajdującej się w określonej odległości od łucznika. Zna ona tylko taki cel, do którego w sensie technicznym nie sposób mierzyć, a cel ten - o ile w ogóle go się określa - nosi miano Buddy.

Powiedziawszy to takim tonem, jakby rzecz rozumiała się sama przez się, polecił nam, byśmy bacznie przyglądali się jego oczom, gdy będzie strzelał. Tak jak podczas całego ceremoniału, oczy miał niemal zupełnie zamknięte. Nie odnieśliśmy wrażenia, że Mistrz celując posługuje się wzrokiem.

Posłusznie ćwiczyliśmy się w strzelaniu bez celowania. Początkowo było mi zupełnie obojętne, dokąd lecą moje strzały. Nawet zdarzające się niekiedy trafienia nie podniecały mnie, wiedziałem, bowiem, że są to fuksy, które w żaden sposób mnie nie dotyczą. Wreszcie jednak takie strzelanie Panu Bogu w okna wyczerpało moją cierpliwość: wróciła pokusa, żeby się zamartwiać. Mistrz udawał, że nie dostrzega mojego niepokoju, aż pewnego dnia wyznałem mu, że jestem u kresu wytrzymałości.

- Niepotrzebnie się przejmujesz - pocieszył mnie. - Uwolnij się od myśli o tym, żeby trafić w tarczę! Można trafiać nie za każdym razem, i też być mistrzem! Trafienia w tarczę są tylko zewnętrznym dowodem i potwierdzeniem tego, że jesteś w najwyższym stopniu bezinteresowny, że do niczego nie dążysz, że wyzbyłeś się siebie -zresztą nazwij ten stan, jak ci się żywnie

podoba. Są różne klasy mistrzostwa. Dopiero wtedy, gdy osiągniesz klasę najwyższą, będziesz miał pewność, że nie chybisz.

- To właśnie nie mieści mi się w głowie - odparłem. - Wydaje mi się, że rozumiem, czym jest ten prawdziwy, wewnętrzny cel, w który należy trafić. Ale jak to się dzieje, że strzała może utknąć w celu zewnętrznym - w papierowym kręgu - choć łucznik weń nie mierzy, i czemu trafienia w tarcze są tylko zewnętrznym świadectwem tego, co rozgrywa się wewnątrz - tej zależności nie pojmuję.

- Łudzisz się - rzekł Mistrz po chwili - sądząc, że choćby pobieżne zrozumienie tych mrocznych powiązań byłoby ci pomocą. Procesy te leżą poza zasięgiem zrozumienia. Nie zapominaj, że nawet w przyrodzie istnieją zależności, których pojąć nie sposób, tak jednak rzeczywiste, że przywykliśmy do nich, jakby nie mogły być ani trochę odmienne. Dam ci przykład, nad którym często łamałem sobie głowę. Pająk tańczy, przędąc sieć, choć nie wie o istnieniu much, które w nią wpadną. Mucha w beztróskim tańcu sunie po promieniu słońca i wpada w sieć, nie wiedząc, co ją czeka. Lecz w obojgu "się" tańczy, i w tańcu tym to, co wewnętrzne, jednoczy się z zewnętrznym. W ten sposób łucznik trafia w tarcze, nie mierząc w nią. Nic więcej nie mogę powiedzieć.

Aczkolwiek wiele myślałem o tym porównaniu - choć oczywiście nie potrafiłem wyciągnąć z niego zadowalających wniosków - coś we mnie nie chciało ustąpić i uparcie nie pozwalało mi ćwiczyć w spokoju. W umyśle mym uformowało się zastrzeżenie, które z upływem tygodni przybrało wyraźniejszy kształt. Spytałem więc

Mistrza:

- Czy nie jest przynajmniej do pomyślenia, że po tylu latach ćwiczeń Mistrz chcąc nie chcąc unosi łuk i strzałę z pewnością lunatyka - a więc, choć napinając łuk nie celuje świadomie, musi jednak trafić w tarcze, bo po prostu nie jest w stanie chybić?

Mistrz - od dawna przyzwyczajony, że zanudzam go pytaniami - pokręcił głową.

- Nie przeczę - rzekł po chwili milczenia - że w tym, co mówisz, może być trochę prawdy. Istotnie, stoję twarzą do celu, w taki sposób, że muszę go widzieć, nawet nie spoglądając umyślnie w jego kierunku. Z drugiej strony wiem jednak, że takie widzenie celu nie wystarcza, o niczym nie przesądza, niczego nie wyjaśnia, bo widzę cel tak, jakbym go nie widział.

- A więc powinienes, Mistrzu, trafiać z zawiązanymi oczami - wyrwało mi się. Spojrzał na mnie tak, iż zdjął mnie lek, że go obraziłem, i powiedział:

- Przyjdź do mnie dziś wieczorem.

Usiadłem na poduszce naprzeciw Mistrza. Mistrz podał mi herbatę, lecz nie odezwał się ani słowem. Siedzieliśmy tak przez dłuższy czas. Wśród ciszy słychać było tylko śpiew czajnika, stojącego na rozgrzanych węglach. Wreszcie Mistrz wstał i skinął na mnie. Poszedłem za nim. Sala ćwiczeń zalana była światłem. Mistrz polecił mi ustawić w piasku przed tarczą świeczkę, długą i cienką, jak drut do robienia swetrów, lecz w pawilonie światła nie zapalać. Było tak ciemno, że nie widziałem nawet zarysu pawilonu. Gdyby świeczka się nie paliła, odgadłbym może, gdzie znajduje się tarcza, choć nie mógłbym dokładnie wypatrzyć jej w mroku. Mistrz "odtańczył" ceremoniał. Pierwsza strzała pomknęła z oślepiającej jasności w otchłań nocy. Poznałem po dźwięku, że utknęła w tarczy. Drugi strzał również był celny. Zapaliwszy światło w pawilonie stwierdziłem ze zdumieniem, że pierwsza strzała tkwi w samym środku czarnego pola, natomiast druga rozłupała ją od strony lotki i przeorała jej trzon, nim tuż obok wbiła się w tarcze. Nie ośmieliłem się wyjąć strzał po jednej, lecz wraz z tarczą zaniósłem je Mistrzowi. Ten krytycznym okiem przyjrzał się strzałom.

- Myślisz pewnie - powiedział - że pierwszy strzał to niewielki wyczyn, bo po tylu latach znam moją strzelnicę tak dokładnie, że nawet w zupełnych ciemnościach muszę wiedzieć, gdzie

jest tarcza. Ale druga strzała, która trafiła w pierwszą - co ty na to? Ja w każdym razie wiem, że to nie mnie należy przypisać te zasługę. "się" strzeliło i "się" trafiło. Skłóńmy się przed tarczą, jak przed samym Buddą!

Mistrz najwidoczniej ugodził i mnie, obydwoma pociskami: jakbym z dnia na dzień doznał przemiany, nie ulegałem już pokusie, by martwić się o to, co dzieje się z moimi strzałami. Mistrz tym bardziej utwierdzał mnie w tej postawie, że nie patrzył na tarcze., lecz po prostu obserwował strzelca, jak gdyby to najtrafniej świadczyło o wyniku strzału. Zapytany, przyznał otwarcie, że istotnie tak jest, a ja coraz to miewałem okazje, przekonać się, że pewność jego osądu w tych sprawach ani na jotę nie ustępowała pewności jego strzałów. Tak oto trwając w największym skupieniu Mistrz przekazywał uczniom ducha swej sztuki. Nie waham się stwierdzić na podstawie własnego doświadczenia, któremu dość długo nie dowierzałem, iż tak zwane "bezpośrednie porozumienie" nie jest jedynie frazesem, lecz faktem namacalnym. W owym czasie Mistrz udzielał nam także innego rodzaju pomocy, który również określał mianem bezpośredniego przekazu z umysłu do umysłu. Jeśli przez dłuższy czas strzelałem źle, Mistrz oddawał parę strzałów z mego łuku. Poprawa, jaką to powodowało, przechodziła wszelkie oczekiwania: jak gdyby łuk inaczej, bardziej ochoczo, z większym zrozumieniem pozwalał się napinać. Nie tylko mnie się to zdarzało. Nawet najstarsi i najbardziej doświadczeni z jego uczniów, wśród których trafiali się ludzie wszelkiego pokroju, uważali to za rzecz dowiedzoną i byli zaskoczeni, gdy zadawałem pytania, jakbym chciał jeszcze się upewnić. Także i żaden mistrz szermierki nie wyrzeknie się przekonania, iż każdy miecz, w którego wykonanie włożono tyle trudu, taki bezmiar staranności, przejmuje ducha płatnerza - który zatem przystępując do pracy wkłada rytualny strój. Mistrzowie mają za sobą doświadczenia nazbyt uderzające, nazbyt wiele umieją, aby mogli nie zauważać, jak miecz reaguje w ich rękach.

Pewnego dnia, ledwie zwołałem cięciwę, Mistrz wykrzyknął:

- Jest! Skłóń się przed tarczą.

Kiedy potem zerknąłem w stronę tarczy (niestety, nie mogłem się powstrzymać), ujrzałem, że strzała zaledwie drasnęła jej skraj.

- To był prawidłowy strzał - rzekł Mistrz stanowczo. - Od tego trzeba zacząć. Ale dosyć na dziś, bo inaczej przy następnym strzale będziesz się specjalnie starał i zaprzepaścisz dobry początek.

Czasem kilka strzałów prawidłowych, a zarazem trafiających w tarcze, następowało tuż po sobie - choć oczywiście znacznie więcej było nieudanych. Lecz gdy na mej twarzy pojawił się choćby najlżejszy błysk zadowolenia, Mistrz karmił mnie z niespotykaną zapalczywością.

- O czym myślisz? - krzychał. - Już wiesz, że nie powinieneś martwić się złymi strzałami. Naucz się teraz nie cieszyć się z dobrych. Musisz znaleźć się poza zasięgiem przyjemności i bólu, wznieść się ponad nie ze swobodą i spokojem, umieć cieszyć się tak, jakbyś to nie ty dobrze strzelił, lecz kto inny. W tym także musisz ćwiczyć się bez ustanku - nie wyobrażasz sobie, jakie to ważne.

Podczas tych tygodni i miesięcy przeszedłem najtwardszą szkołę mojego życia. Choć czasem niełatwo było mi pogodzić się z dyscypliną, stopniowo przekonywałem się, ile jej zawdzięczam. Wyplenila ona we mnie ostami ślad zaprzątnięcia samym sobą i chwiejności nastrojów.

- Czy teraz rozumiesz - spytał Mistrz pewnego dnia po szczególnie udanym strzale - co to znaczy, że "się" strzela, "się" trafia?

- Obawiam się, że już zupełnie nic nie rozumiem - odparłem. - Poplątały mi się nawet najprostsze sprawy. Czy "ja" naciągam łuk, czy też raczej łuk wciąga mnie w stan najwyższego napięcia? Czy to ja trafiam w cel, czy też cel trafia we mnie? Czy "się", widziane oczami cielesnymi, jest duchowe, a staje się cielesne, gdy oglądamy je oczyma ducha - czy też obie

możliwości są prawdziwe, a może żadna? Łuk, strzała, cel, ja -wszystko stapia się w jedną całość, i już nie mogę oddzielić poszczególnych części. Nie czuje już nawet potrzeby oddzielania, bo skoro tylko wezmę łuk do ręki i strzelę, wszystko staje się tak jasne i bezpośrednie, i śmiesznie proste...

- Nareszcie - wtrącił Mistrz. - Cięciwa przecięła cię na wskroś.

* * *

Minęło z górą pięć lat. Mistrz zaproponował, żebyśmy zdali egzamin.

- Nie chodzi o to tylko, żeby popisać się umiejętnością - wyjaśnił. - Większą wagę przywiązuje się do duchowych manier łuczника. Liczy się najdrobniejszy gest. Przede wszystkim spodziewam się, że nie będzie was krepowała obecność widzów. Cały ceremoniał odprawić macie niewzruszenie, jakbyśmy byli sami.

W ciągu następnych tygodni pracowaliśmy, nie myśląc o egzaminie. W rozmowach w ogóle o nim się nie wspominało. Często już po paru strzałach przerywaliśmy lekcje- Polecono nam jednak odprawiać ceremoniał w domu, a wykonując poszczególne ruchy i przybierając kolejne pozy zwłaszcza, dbać o to, by prawidłowo oddychać i trwać w głębokim skupieniu.

Ćwicząc w zalecany sposób stwierdziliśmy, że skoro tylko przywykliśmy tańczyć ceremoniał bez łuku i strzały, już po paru pierwszych krokach udaje nam się osiągać niezwykle skupienie. Uczucie to tym bardziej narastało, im bardziej staraliśmy się rozluźnić nasze ciała, aby ułatwić sobie koncentrację. Podczas lekcji, gdy znów ćwiczyliśmy z łukiem i strzałą, te domowe ćwiczenia okazały się wielce owocne: potrafiliśmy bez wysiłku wejść w stan "przytomności umysłu". Czuliśmy się tak bezpiecznie, że z całym spokojem oczekiwaliśmy dnia, gdy w obecności widzów pora będzie poddać się egzaminowi.

Zdaliśmy go tak dobrze, że Mistrz nie musiał z uśmiechem zakłopotania prosić widzów o wyrozumiałość. Od razu przyznano nam dyplomy, określające stopień mistrzostwa, jaki każde z nas osiągnęło. Na zakończenie zebrania Mistrz, odziany w przewspaniałe szaty, oddał dwa mistrzowskie strzały. Po kilku zaś dniach moja żona zdobyła w otwartym konkursie tytuł mistrzowski w sztuce układania bukietów.

Odtąd lekcje zmieniły oblicze. Poprzestając na kilku zaledwie strzałach, Mistrz wykladał nam Wielką Doktrynę w odniesieniu do sztuki łucznictwa, dostosowując ją do naszego poziomu. Choć posługiwał się tajemniczymi obrazami i mrocznymi porównaniami, dość było najdrobniejszej aluzji, byśmy zrozumieli, w czym rzecz. Najdłużej rozwodził się nad tym, że łucznik, chcąc osiągnąć doskonałość, dążyć musi do opanowania "sztuki, w której niczego sztuką nie dokażesz".

- Tylko ten, kto umie strzelać z rogu zająca i z włosa zółwia, i kto bez łuku (rogu) ani strzały (włosa) trafia w samo centrum, jest mistrzem w najwznioślejszym tego słowa znaczeniu - mistrzem sztuki, w której niczego sztuką nie dokażesz. Prawdę rzekłszy, to on sam jest sztuką, w której niczego sztuką nie dokażesz, jest więc zarazem mistrzem i nie-mistrzem. W tym punkcie łucznictwo, traktowane jako nieporuszony ruch, nieodtańczony taniec, wkracza w dziedzinę zen.

Spytałem Mistrza, jak będę mógł po powrocie do Europy czynić bez jego pomocy dalsze postępy.

- Odpowiedzią na twoje pytanie jest to, że kazałem ci zdać egzamin - rzekł Mistrz. -Osiągnąłeś

poziom, na którym nauczyciel i uczeń nie są już dwiema osobami, lecz jedną. Możesz rozstać się ze mną, kiedy zechcesz. Choćby legł między nami przestwór mórz, gdy będziesz ćwiczył to, czego się nauczyłeś, zawsze będę przy tobie. Nie muszę ci mówić, że powinieneś ćwiczyć regularnie, nie przerywając pod żadnym pozorem. Nie opuszczaj ani jednego dnia. Odprawiaj ceremoniał choćby bez łuku i strzały, a już przynajmniej oddychaj prawidłowo. Nie muszę ci tego mówić, bo wiem, że nie byłbyś w stanie porzucić tego łucznictwa, które wymaga udziału ducha. Nigdy mi o tym nie pisz, tylko od czasu do czasu przyślij fotografię, żebym widział, jak naciągasz łuk. W ten sposób dowiem się wszystkiego, co wiedzieć powinienem.

Ale jest coś, przed czym muszę cię ostrzec: w ciągu tych lat stałeś się innym człowiekiem. Na tym, bowiem właśnie polega sztuka łucznictwa, że łucznik toczy dogłębne i dalekosiężne zmagania z samym sobą. Być może na razie zaledwie to zauważasz, ale odczujesz to bardzo mocno, gdy po powrocie do kraju spotkasz przyjaciół i znajomych: nie będzie już między wami takiej harmonii, jak niegdyś. Będziesz patrzył innymi oczyma i mierzył inną miarą. Mnie też to spotkało - tak jak każdego, kogo dotknął duch tej sztuki.

Na pożegnanie, choć i nie na pożegnanie, Mistrz wręczył mi swój najlepszy łuk.

- Strzelając z niego poczujesz, że jest przy tobie duch twojego Mistrza. Nie dawaj go do rąk ciekawym! A gdy już z niego wyrośniesz i pójdziesz dalej, nie zachowuj go na pamiątkę, lecz zniszcz - niech zostanie tylko kupka popiołu!



Po tym wszystkim obawiam się, że w umysłach wielu czytelników zrodziło się podejrzenie, jakoby łucznictwo, nie mając już znaczenia w starciach człowieka z człowiekiem, przetrwało jedynie jako wysoce wyrafinowana forma życia duchowego, a więc uległo niezbyt zdrowej sublimacji. I trudno komukolwiek mieć za złe takie przypuszczenie.

Należy, zatem jeszcze raz podkreślić, że sztuka w Japonii - między innymi także sztuka łucznictwa - nie dostała się pod wpływ buddyzmu zen dopiero w czasach nam bliskich, lecz już od wieków pozostaje pod jego oddziaływaniem. Gdyby jakiegoś mistrza łucznictwa w owych zamierzonych czasach poddano próbie, nie mógłby on o naturze swej sztuki powiedzieć niczego, co by rażąco odbiegało od stwierdzeń dzisiejszych mistrzów, dla których Wielka Doktryna jest żywym faktem. Poprzez stulecia duch tej dyscypliny pozostał jednaki - nie bardziej zmienny, aniżeli sam zen.

Aby rozproszyc resztki wątpliwości - zupełnie, jak wiem z własnego doświadczenia, zrozumiałych - proponuje dla porównania przyjrzeć się pobieżnie innej dyscyplinie, której nawet w obecnych warunkach nie sposób odmówić znaczenia wojskowego: sztuce szermierki. Dokonuje tej próby tylko, dlatego, że Mistrz Awa, będąc również znakomitym szermierzem "duchowym", zwracał mi czasem uwagę na uderzające podobieństwa między doznaniem mistrzów łucznictwa i mistrzów szermierki, lecz przede wszystkim, dlatego, że istnieje nadzwyczaj doniosły zapis, pochodzący z czasów feudalizmu, gdy rycerstwo znajdowało się w pełni rozkwitu, a mistrzowie szermierki musieli dowodzić swej sprawności w sposób w najwyższym stopniu nieodwołalny - ryzykując życiem. Jest to traktat pióra wielkiego mistrza zen, imieniem Takuan, zatytułowany Nieporuszone rozumienie. W traktacie tym obszernie omawia się związek między buddyzmem zen a sztuką szermierczą i praktyką walki na miecze. Nie wiem, czy jest to jedyny dokument, tak szczegółowo i oryginalnie wykładający Wielką

Doktrynę szermierki. Tym bardziej nie wiem, czy istnieją podobne relacje na temat sztuki łucznictwa. W każdym razie szczęśliwie się złożyło, że świadectwo Takuana zachowało się do naszych czasów. Wielka też zasługa D.T.Suzukiego, że niemal bez skrótów przetłumaczył ten list do słynnego szermierza, udostępniając jego treść szerokim kręgom czytelników. Po swojemu komponując i streszczając zawarte w liście informacje, postaram się z możliwie największą jasnością i zwięzłością wytłumaczyć, co niegdyś nazywano szermierką i co - w jednomyślnej opinii wielkich mistrzów - dziś się tym mianem określa.

* * *

Wśród mistrzów szermierki uchodzi to za rzecz dowiedzioną na podstawie ich własnego oraz ich uczniów doświadczenia, że początkujący - jakkolwiek silny byłby i wojowniczy - traci nie tylko bezwiedną naturalność, lecz i wiarę w siebie, skoro tylko zacznie pobierać nauki. Dowiaduje się o wszystkich możliwościach technicznych, z pomocą, których życiu jego można zagrozić w walce, i choć rychło opanowuje umiejętność wyężdżania uwagi do granic, baczного obserwowania przeciwnika, prawidłowego parowania jego ciosów i wykonywania skutecznych wypadów, jest w rzeczywistości w znacznie gorszym położeniu niż przedtem, kiedy to młócił wokoło na los szczęścia, pod natchnieniem chwili, jak mu podpowiadało radosne uniesienie bitewne. Teraz zaś chcąc nie chcąc musi przyznać, że jest na łasce każdego, kto jest od niego silniejszy, zwinniejszy i lepiej wyćwiczony. Widzi, że otwiera się przed nim tylko jedna droga, a jest to droga nieustannych ćwiczeń. Własny nauczyciel też nie może mu w tej chwili niczego innego doradzić. Toteż początkujący pragnie za wszelką cenę prześcignąć innych, a nawet siebie samego. Nabywa błyskotliwej techniki, dzięki czemu częściowo odzyskuje utraconą wiarę w siebie. Wydaje mu się, że upragniony cel jest coraz bliżej. Lecz nauczyciel jest innego zdania - i słusznie, stwierdza Takuan, gdyż cała sprawność początkującego tylko do tego prowadzi, że "miecz kradnie mu serce".

Lecz nauczanie wstępne nie może odbywać się inaczej. Jest ono ściśle dostosowane do potrzeb początkującego, a mimo to - o czym aż nadto dobrze wie nauczyciel - nie prowadzi do celu. Nietrudno zrozumieć, czemu uczeń mimo zapału, a nawet mimo wrodzonych zdolności, nie staje się mistrzem. Czemu jednak człowiek, który dawno już nauczył się, że nie wolno dawać się porwać żarowi bitwy, lecz należy zachować chłód i spokój, oszczędzając siły - czemu człowiek ten, który czuje się zahartowany i zdolny do przewlekłych bojów, który z trudem znaleźć może w swym otoczeniu równego sobie przeciwnika - czemu (jeśli oceniać go wedle najbardziej wymagających kryteriów) w ostatniej chwili zawodzi i nie czyni postępów?

Zdaniem Takuana przyczyna tkwi w tym, że uczeń nie jest w stanie oderwać wzroku od przeciwnika i od jego miecza, lecz wciąż przemyśliwa, jakby najlepiej go zażyć, i wyczekuje chwili jego nieuwagi. Krótko mówiąc, wciąż polega on na swym kunszcie i wiedzy. Postępując w ten sposób, powiada Takuan, traci "przytomność serca": rozstrzygające pchniecie zawsze następuje zbyt późno. Uczeń nie potrafi "zaatakować przeciwnika jego własnym mieczem". Im bardziej stara się w błyskotliwej szermierce polegać na rozwadze, na świadomym wykorzystywaniu własnych umiejętności, na doświadczeniu bojowym i znajomości taktyki, tym bardziej hamuje swobodne "działanie serca". Co tu począć? Jak przepoić "duchem" sprawność techniczną? W jaki sposób znakomity technik stać się może mistrzem szermierki? Dowiadujemy się, że dojść może do tego tylko wtedy, gdy uczeń wyzbędzie się wszelkich dążeń, wyzbędzie się

własnego "ja". Trzeba mu to wpoić, że ma przestać nie tylko zajmować się przeciwnikiem, lecz i sobą samym. Musi przejść przez obecne stadium rozwoju i na zawsze zostawić je za sobą, choćby miał zaryzykować nieodwołalną porażkę. Czy nie brzmi to równie nonsensownie, jak zalecenie, by łuczniczka trafiała, nie mierząc do celu -by zupełnie stracił z oczu cel i własny zamiar trafienia weń? Warto jednak pamiętać, że sztuka mistrzowskiego fechtunku, której istotę omawia Takuan, sprawdziła się w tysiącach starć.

Rola nauczyciela na tym polega, aby - nie ukazując drogi jako takiej - pomóc uczniowi wyczuć szlak wiodący do celu, dostosowując jego tor do cech szczególnych ucznia. Zaczyna się więc od nauki instynktownego unikania pchnięć, choćby całkiem niespodziewanych. W uroczej anegdocie D.T.Suzuki opowiada, jaką to nadzwyczaj oryginalną metodą posłużył się pewien nauczyciel, aby wywiązać się z tego bynajmniej nie łatwego zadania:

"Japońscy mistrzowie fechtunku posługują się czasem metodami buddyzmu zen. Pewnego razu uczeń przyszedł do mistrza, aby ten nauczył go sztuki szermierczej. Mistrz, który żył w odosobnieniu w chacie pośród gór, podjął się zadania. Kazał uczniowi pomagać w zbieraniu drewna na opał, czerpaniu wody z pobliskiego strumienia, rąbaniu drzew, rozpalaniu ognia, gotowaniu ryżu, zamiataniu chaty i ogrodu; ogólnie mówiąc, do obowiązków ucznia należało zajmowanie się domem, natomiast prawdziwych lekcji fechtunku ani techniki szermierczej nikt mu nie udzielał. Po pewnym czasie młodzieńca ogarnęło niezadowolenie: przecież nie przybył tu, żeby usługiwać starszemu panu; pragnął opanować sztukę szermierki. Toteż pewnego dnia zagadnął Mistrza, prosząc, by ten zaczął wreszcie go uczyć. Mistrz zgodził się. Skutek był taki, że młodzieniec przy żadnej pracy nie czuł się bezpieczny. Gdy wczesnym rankiem zaczynał gotować ryż, pojawiał się Mistrz i od tyłu grzmocił go kijem. Podczas zamiatania czuł, że z niewiadomej strony zagraża mu taki sam cios. Nie zaznał chwili spokoju - musiał nieustannie mieć się na baczności. Minęło kilka lat, nim nauczył się skutecznie unikać ciosów, z którejkolwiek zagrażałyby mu one strony. Lecz Mistrz wciąż jeszcze nie był z niego kontent. Zdarzyło się pewnego dnia, że Mistrz sam gotował sobie warzywa na ognisku. Uczeń postanowił skorzystać z tej sposobności. Podniósł wielki drąg, chcąc spuścić go na głowę Mistrza, który właśnie pochylał się nad garnkiem, żeby w nim zamieszać. Mistrz pokrywą garnka odparował cios, tym samym odsłaniając przed uczniem tajniki kunsztu, do których nie miał on dotychczas dostępu. Wtedy to uczeń po raz pierwszy w pełni docenił niezrównaną dobroć Mistrza".

Uczeń musi rozwinąć w sobie nowy zmysł - a ściślej mówiąc, nowy rodzaj czujności wszystkich zmysłów. Pozwoli mu to unikać niebezpiecznych pchnięć, jak gdyby zawczasu wyczuwał grożący cios. Opanowawszy te sztukę uników, nie musi już poświęcać całej uwagi śledzeniu ruchów przeciwnika, a nawet kilku przeciwników jednocześnie, lecz widzi i czuje to, co dopiero ma się wydarzyć, i w tejże chwili unika skutków owego zdarzenia. Nawet przysłowiowy włos nie dzieli momentu spostrzeżenia groźby od uniku. Oto, co się liczy: błyskawiczna reakcja, obywatelająca się bez wsparcia świadomej obserwacji. Przynajmniej pod tym względem uczeń uniezależnia się od wszelkich świadomych dążeń, a to już wielka korzyść.

Znacznie, znacznie trudniej - a rzecz to doprawdy rozstrzygająca - jest zapobiec temu, że uczeń zastanawia się i wypatruje, jakby tu najlepiej zażyć przeciwnika. Na dobrą sprawę powinien on całkowicie uwolnić się od myśli o tym, że ma do czynienia z przeciwnikiem i że stawką jest życie.

Początkowo uczeń - o co zresztą trudno go winić - wyciąga z tych wskazówek wnioski, iż dosyć będzie, jeśli powstrzyma się od śledzenia posunięć przeciwnika i od myślenia o nich. Traktuje to nie śledzenie z wielką powagą i kontroluje się na każdym kroku. Jednakże uchodzi jego uwagi fakt, że skupiając się na samym sobie, nieuchronnie widzi siebie samego jako wojownika, który za wszelką cenę ma się wystrzegać obserwowania tego, co robi przeciwnik.

Mimo wszelkich usiłowań przeciwnik nadal jest skrycie obecny w jego myślach. Uczeń tylko pozornie przestał się nim zajmować, a im bardziej usiłuje o nim zapomnieć, tym bardziej się z nim wiąże.

Aby przekonać ucznia, że takie przeniesienie uwagi nic mu właściwie nie dało, potrzeba sporego wysiłku ze strony przewodnika, który musi być przy tym nader subtelnym psychologiem. Uczeń powinien nauczyć się nie zważać na siebie - równie śmiało, jak nie zważa na przeciwnika; nauczyć się w najskrajniejszym sensie nie poświęcać samemu sobie uwagi, i wyzbyć się jakichkolwiek zamierzeń. Tak jak w łucznictwie, tak i tu potrzeba wiele cierpliwości, wielu ćwiczeń, od których serce wręcz pęka. Lecz z chwilą, gdy ćwiczenia te pozwolą osiągnąć cel, ostatni ślad zaprzątnięcia samym sobą roztapia się w czystej bezinteresowności.

Ten stan bezinteresownego oderwania automatycznie umożliwia zachowanie, które zdumiewająco przypomina instynktowne uniki z wcześniejszego etapu. Tak jak w poprzednim stadium między spostrzeżeniem zamierzonego pchnięcia a unikiem nie było ani chwili zwłoki, tak i teraz uniku i działania nie dzieli nawet grubość włosa. Wykonując unik, wojownik zamierza się, aby zadać ciecie - i już śmiertelny cios spadł w mgnieniu oka, pewny i nie do odparcia. Miecz jak gdyby sam sobą władał. Tak jak w łucznictwie, gdzie mówimy, że "się" mierzy i "się" trafia, tak i tutaj "się" zastępuje "ja", poczynając sobie z łatwością i wszechstronnością, którą "ja" osiągać może jedynie kosztem świadomego wysiłku. Również i tutaj "się" jest tylko słowem, za którym kryje się coś, czego nie sposób pojąć ani uchwycić, a co objawia się tym tylko, którzy go zaznali.

Według Takuana doskonałość w szermierce osiąga się wtedy dopiero, gdy serce nie trapi się już myślą o "mnie" czy "tobie", o przeciwniku i o jego mieczu, o własnym mieczu i o tym, jak nim władać - a nawet o życiu i śmierci: "Wszystko jest pustką - i twoje własne, ja", i miecz, co błyska, i władające nim ramiona. Znika nawet sama myśl o pustce". Z tej właśnie pustki, stwierdza Takuan, "w sposób jak najcudowniejszy wyłania się czyn".

Wszystko, co dotyczy łucznictwa i szermierki, odnosi się także do pozostałych dyscyplin. Tak więc mistrzostwo w sztuce malowania tuszem osiąga się dopiero wtedy, gdy ręka, doskonale opanowawszy technikę, maluje unoszący się przed wewnętrznym okiem umysłu obraz w tej samej chwili, w której umysł zaczął obraz ten tworzyć: momentu wizji nie dzieli od momentu wykonania nawet grubość włosa. Malarstwo staje się wówczas spontaniczną kaligrafią. Oto, jakich na przykład wskazówek można by udzielić malarzowi: przez dziesięć lat przyglądaj się bambusom, stań się bambusem, a potem zapomnij o wszystkim - i maluj.

Mistrz szermierki posiada nieświadomą sobie naturalność początkującego. Nonszalancje, którą utracił w początkach nauki, odzyskuje u samego jej końca, lecz teraz nonszalancja ta staje się jego niezniszczalną cechą. Mistrz tym jednak różni się od początkującego, że jest powściągliwy, cichy i bezpretensjonalny, i ani trochę nie pragnie się popisywać. Między poziomem aspiranta a poziomem mistrza rozciągają się długie, obfitujące w wydarzenia lata niezmordowanych ćwiczeń. Zen nadaje sprawności szermierza aspekt duchowy. Sam szermierz, zyskując coraz większą swobodę dzięki walce duchowej, którą toczy, również doznaje przemiany. Miecz, będący teraz jego "duszą", nie spoczywa już lekko w pochwie: szermierz dobywa go tylko wtedy, gdy jest to nieuniknione. Może się więc zdarzyć, że z obojętnym uśmiechem znosząc zarzut tchórzostwa nie stanie do walki z niegodnym przeciwnikiem, z pyszałkiem, który chęłpi się swoimi mięśniami; natomiast z szacunku dla przeciwnika będzie nalegał, aby odbył się pojedynek, mogący skończyć się jedynie zaszczytną śmiercią tamtego. Tego rodzaju uczucia określają etos samurajski, niezrównaną "drogę rycerską", znaną pod mianem *bushido*. Albowiem cenniejszy niż wszystko, niż sława, zwycięstwo, a nawet życie, jest

“miecz prawdy”- przewodnik i sędzia szermierza.

Podobnie jak początkujący, tak i mistrz szermierki jest nieustraszony, tym jednak różni się od początkującego, że strach z każdym dniem coraz trudniej znajduje doń przystęp. Lata nieustannej medytacji nauczyły go, że życie i śmierć są w istocie tym samym, że należą do tej samej warstwy zjawisk. Nie wie on już, co to lek przed życiem, bądź groza, jaką tchnie śmierć. Żyje mu się - co nader typowe dla buddyzmu zen -dość szczęśliwie, lecz w każdej chwili gotów jest zejść z tego świata, a myśl o śmierci nie niepokoi go ani trochę. Nie bez kozery samurajowie obrali sobie za najprawdziwszy symbol kruchy kwiat wiśni: jak płatek, który w promieniach słońca o poranku spada z gałązki i spokojnie szybuje ku ziemi, tak i mąż nieulękły musi oderwać się od życia, milczący i wewnętrznie nieporuszony.

Wyzwolenie z leku przed śmiercią nie polega na tym, by w chwilach dobrego nastroju udawać przed samym sobą, że nie zadrży się w obliczu śmierci, że nie ma, czego się bać. Ten, kto jednak zapanuje nad życiem i śmiercią, nie jest już w stanie doznać leku - tak dalece wyzwala się, bowiem spod jego władzy. Ludzie, którym nieznana jest moc nieugiętej, długotrwałej medytacji, nie potrafią osądzić, jak bardzo można dzięki niej ujarzmić samego siebie. Faktem jest, że mistrz, który osiągnął doskonałość, na każdym kroku objawia nieustraszoną - nie w słowach, lecz w całym sposobie bycia; samym swym widokiem wywiera on bardzo silne wrażenie. Niewzruszone męstwo samo w sobie równoznaczne jest z mistrzostwem, które siłą rzeczy osiągają tylko nieliczni. Na dowód przytoczę fragment *Hagakure* - tekstu, pochodzącego z połowy XVII wieku:

“Yagyū Tajima-no-kami, wybitny szermierz, uczył fechtunku ówczesnego Szoguna. Pewnego dnia zgłosił się doń samuraj ze straży przybocznej Szoguna, pragnął, bowiem pobierać lekcje szermierki.

- Widzę - powiedział Mistrz - że sam jesteś fechtmistrem. Powiedz mi, proszę, do jakiej szkoły należysz, zanim nawiążemy takie stosunki, jakie łączą nauczyciela z uczniem.

Gwardzista rzekł:

- Wyznam ze wstydem, że nigdy nie uczyłem się tej sztuki.

- Chcesz mnie wprowadzić w błąd? Uczę samego czcigodnego Szoguna i wiem, że oko nigdy mnie nie zawodzi.

- Z żalem zadaje ci kłam, o Czcigodny, lecz naprawdę nic nie umiem.

Skoro gość tak śmiało zaprzeczył, Mistrz zamyślił się na chwilę, po czym rzekł:

- Tak powiadasz, więc widocznie tak jest. Wszelako pewien jestem, że w czymś jednak osiągnąłeś mistrzostwo, choć nie wiem, w czym.

- Powiem, skoro nalegasz, panie. O jednej rzeczy mogę powiedzieć, że opanowałem ją po mistrzowsku. Byłem jeszcze chłopcem, kiedy przyszło mi na myśl, że jako samuraj w żadnych okolicznościach nie powinienem lękać się śmierci. Przez szereg lat borykałem się z problemem śmierci, aż w końcu zupełnie przestałem się nim trapić. Może o to właśnie chodzi?

- Najdokładniej! - zakrzyknął Tajima-no-kami.

- Właśnie to miałem na myśli. Cieszę się, że nie pomyliłem się w osądzie. Albowiem główny sekret szermierki także polega na tym, by uwolnić się od myśli o śmierci. Iluż setkom uczniów próbowałem to wpoić! Jak dotąd żaden właściwie nie zasłużył, abym wystawił mu świadectwo szermierza. Nie potrzeba ci lekcji techniki. Jesteś już mistrzem”.

Sale ćwiczeń, w której naucza się szermierki, z dawien dawna nazywają “miejszem oświecenia”.

Każdy mistrz, uprawiający którąś z dyscyplin ukształtowanych przez zen, jest niczym błyskawica, wybiegająca z chmury wszechogarniającej Prawdy. Prawda ta przenika swobodnie poruszenia jego ducha. W rejonach “się” napotyka on ją ponownie, jako swą własną, pierwotną i

beziemienną istotę, która raz po raz objawia mu się na nowo, ilekroć osiąga on granice własnych możliwości. Prawda przybiera, zatem w jego oczach (a za jego pośrednictwem w oczach innych) tysiąc postaci i kształtów.

Choć cierpliwie i pokornie poddał się bezprzykładowej dyscyplinie, adepta czeka jeszcze długa droga. Zen nie przesycił go jeszcze, nie opromienił z taką mocą, aby mógł być dlań podporą we wszystkich jego poczynaniach, aby życie jego składało się jedynie z dobrych chwil. Wolność najwyższego rzędu nie jest jeszcze dla niego koniecznością.

Jeśli cel ten pociąga go nieodparcie, musi on znów ruszyć w drogę, wiodącą ku sztuce, w której sztuką niczego się nie dokaże. Aby żyć zgodnie z Prawdą i w Prawdzie, jak człowiek, który zjednoczył się z nią, musi zdobyć się na skok w Pierwotne Źródło. Znów musi stać się uczniem, początkującym. Musi pokonać ostatnią, największą stromiznę i poddać się nowym przeobrażeniom. Jeśli ocaleje mimo niebezpieczeństw podróży, wypełnia się jego przeznaczenie: stojąc z nią twarzą w twarz, podziwia nienaruszoną Prawdę, Prawdę nad prawdami, bezpostaciowe Źródło Źródeł, Pustkę, która jest wszystkim. Ona to wchłania go, on zaś wyłania się z niej, odrodzony.

Originally published in Germany by Otto Wilhelm Barth-Verlag, Muenchen-Planegg as Zen in der Kunst des Bogenschiessens. Published in the United States by Pantheon Books, Inc., in 1953 as Zen in the Art of Archery by Eugen Herrigel with an introduction by D.T.Suzuki.
Copyright © for the Polish edition by Wydawnictwo "Pusty Obłok" 1987 ISBN 83-00-02390-9

Przełożył z angielskiego Michał Kłobukowski, redagował Bolesław Rok, okładkę, i ilustracje wykonała Maria Derlacka, redagowała technicznie Krystyna Nowicka, a komputerowo przetworzył Jerzy Czechak.

Wydawnictwo "Pusty obłok" 1997.

Wydrukowano 20,000 egzemplarzy na papierze drukowanym III klasy.

Druk ukończono w 1997 roku. Zamówienie nr 4525.K-14.

Druk:Z.P.A. Polak Warszawa ul. Gilarska 41 zam.2003/87